

KILKA POWIEŚCI

252 i

OPOWIADAŃ

POŚWIĘCONYCH

MŁODSZEMU SZCZEGÓLNI
POKOLENIU.

ZEBRAŁ I SPISAŁ

Chociśrewtla
Józef
 *Apr 1896*

LESZNO.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera.

1862.

235 20 4324

BIBLIOTEKA UNIW. W POZNAŃIU



1
266582

Wypożycza się
tylko do czytelní

II 252.



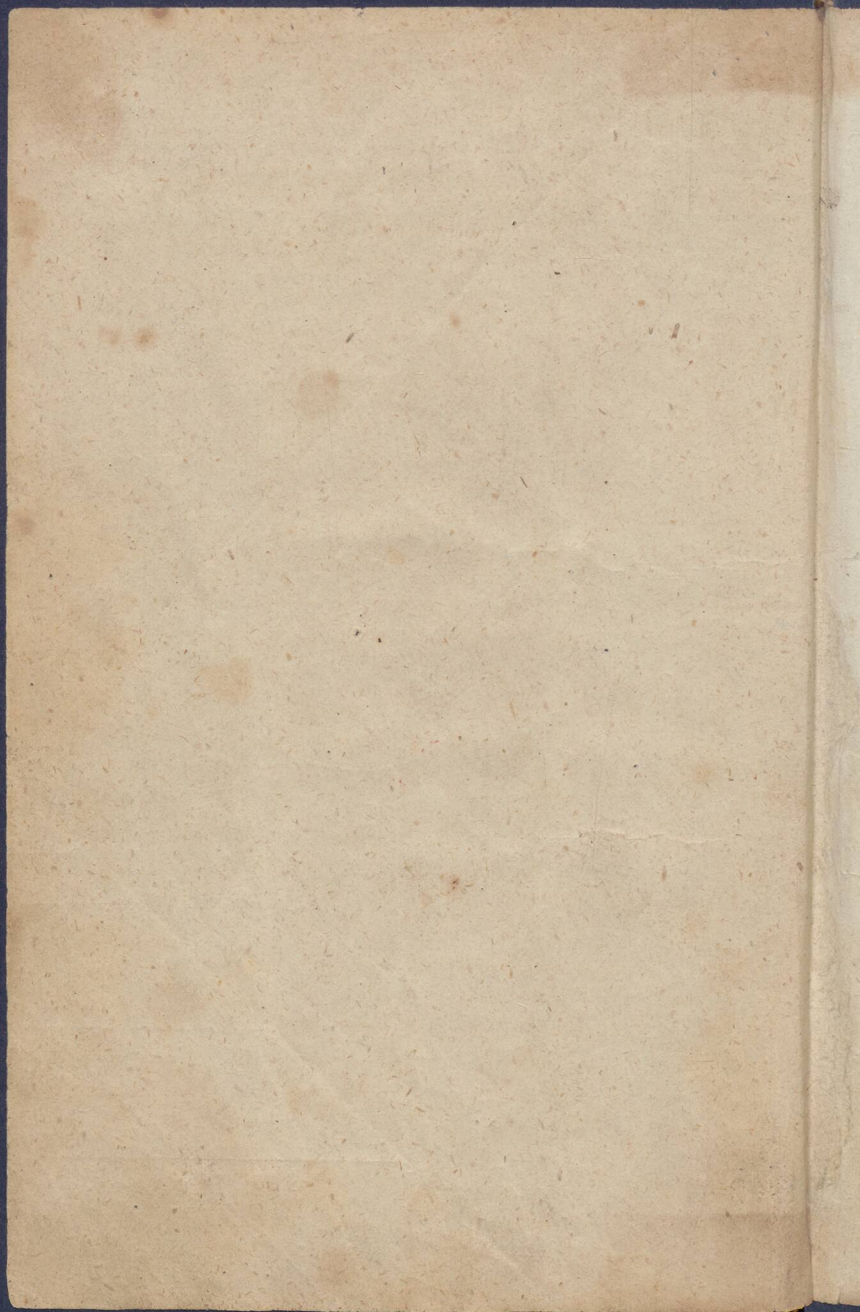
Handwritten signature

Handwritten signature

00/70

From

London



KILKA POWIEŚCI

252

i

OPOWIADAŃ

POŚWIĘCONYCH

MŁODSZEMU SZCZEGÓLNIIE
POKOLENIU.

ZEBRAŁ I SPISAŁ

Chociszewski
Josef
*Apr 1896*

LESZNO.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera.

1862.

835 26 53 2/2

KIJKĄ POWIĘK

112

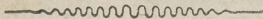
266.582F



1958 Da 288

Powieści niniejsze i opowiadania są głównie poświęcone doroślejszój dziatwie, téj mianowicie, która ukończyła nauki w zwykłej szkółce. Księża, nauczyciele, rodzice i w ogóle przyjaciele młodzieży szczególnie na to uwagę zwrócić powinni, aby dziatwa opuszczając szkołę mogła za pomocą książek kształcić swój umysł i serce, i ćwiczyć się w miłości Boga, w zamiłowaniu cnoty i pracy, bo inaczej większa część dzieci nader mało skorzysta z nauk szkolnych. I ten to głównie cel miałem na oku w niniejszém dziełku. Mianowicie zaś starałem się powieściami i opowiadaniem wzbudzić w sercach młodzieży miłość Boga i rodziców, uszanowanie i wdzięczność dla starszych. Kilka opowiadań przerobiłem z znanych poetycznych utworów naszych piewców. Przy niektórych zamieściłem i wiersz sam, jużto aby zachęcić do poezyi, jużto aby myśl zasadnicza takiego opowiadania wrażyła się w serca czytelników. Podobne przeplatanie dzieł dla młodzieży wierszami jest zdaniem mojem nader pożądanem.

O ile można starałem się o barwę narodową, bo mianowicie dzieła dla naszego ludu i młodzieży pozbawione są cechy narodowej, a zatem nie mogą wywierać wielkiego wpływu. Sądzę téż, że dziełko niniejsze można dać w rękę ludowi; podobne powieści, jak wiem z własnego doświadczenia, lud z przyjemnością czyta. Nadmieniam téż, że kilka z zamieszczonych tu opowiadań było wydrukowanych już w Gwiazdce Cieszyńskiej, piśmie czasowém, które wychodzi w Cieszynie w Śląsku austriackim. Daj Boże, aby ta pierwsza moja praca dla naszej młodzieży i ludu, przyczyniła się choć nieco do zaszczepienia szlachetnych uczuć w sercach słuchaczy i czytelników!



Kto z Bogiem, to i Bóg z nim,

czyli:

Powieść o dwóch żebrakach.

Nasi ojcowie pozostawili nam wiele prześlicznych a mądrych przypowieści i przysłów. I oto jedno takie piękne przysłowie macie wypisane u góry. Jużto z nas nie jeden podobno przekonał się o prawdziwości tego przysłowia, aleć nie zawadzi posłuchać opowiadania, które wymownie dowodzi, że *kto z Bogiem, to i Bóg z nim*. A więc posłuchajcie.

Dawnemi czasy żyło sobie dwóch żebraków, którzy zwykle dziadami są zwani. Jeden z nich zwał się Szczudło, a drugi Kostel. Szczudło, tak zwany, że na szczudłach chodził, modlił się szczerze, śpiewał pieśni pobożne, ale nie, aby jałmużnę wyludzić, lecz aby Bogu chwałę oddać. Nie cisnął się wcale do pałaców, lecz ubogie tylko nawiedzał chatki. Nie raz siadł sobie pod krzyżem w polu i śpiewał i modlił się z całego serca, z duszy całej; a jeżeli dostał małą jałmużnę, to było dosyć dla niego. Kiedy przejeżdżał lub przechodził jaki podróżny, to Szczudło nie wykrzykiwał, że z głodu umiera, że kaleka, i nie prosił przez rany Zbawiciela, przez Ducha przenaświętszego, o nie! on święte te imiona w sercu nosił, a nie śmiał ich niegodnemi kłać ustami. Wielu dziadów po skończonem nabożeństwie, a mianowicie na odpustach, oddaje się pijaństwu i różnym

zbytkom, obrażając ciężko Pana Boga, którego imienia niedawno wzywali. Nie czynił tego Szczudło; wódki nigdy nie pijał, a karczmy omijał z daleka. Jeżeli mu się zdarzyło kiedy więcej uzbierać, niż potrzebował, wtedy osiadł w swym kąciku i tak długo nie żebrał, dopóki miał utrzymanie. A jeżeli widział kogo więcej od siebie potrzebującego, to chętnie z nim chleb swój łamał. Słowem, Szczudło nie był wcale żebrakiem z rzemiosła, ale był, jak to mówią, z Bogiem, to też i Bóg był z nim, a choć Szczudło nieraz głód i nędzę cierpiał, to jednak był szczęśliwym, bo posiadał skarb wielki: spokojne i czyste sumienie.

Żył też i drugi żebrak w owych czasach, a nawet w tej samej, co i Szczudło, wiosce, a zwał się, jak już wzmiankowałem, Kostelem. Lecz jak ziemia od nieba, tak się różnił Kostel od Szczudła. Modlitwy używał tylko dla oszukania i zamydlenia oczu litościwym ludziom; wszędzie pokazywał udane rany; wzywał miłosierdzia Bożego, a nieraz to aż za suknie przechodzących chwycił, aby mu jałmużnę dali. Ubogie chatki omijał z daleka, bo nie smakował mu chleb czarny, a cisnął się na zamki i pałace, gdzie pod niebiosa wychwalał łaskawość i wspańiałomyślność panów, nazywał ich: jaśnie oświeconymi, wielmożnymi hrabiami, książętami, i jakie tylko mógł wymyślał pochwały, a nieraz zamiast pobożnej piosenki, to i rozpustną zaśpiewać umiał, byle tylko więcej wyżebrał. Często prawda porządnie mu się przy tym oberwało; nie jeden pan kazał go doskonale wychłostać, psami wyszczuć, do sklepu wsadzić, ale też za to sownie go nie raz wynagrodził, tak że i czasem czerwone złote wędrowały do kieszeni Kostela. Poznał on też dokładnie umysły panów; wie-

dział, o którym przychodzić czasie, jakich używać tytułów, umiał schlebiać próżności, a wielcy panowie, jak to zwyczajnie panowie, kiedy w dobrém byli usposobieniu, to hojnie Kostela udarowali. Czasem nawet przebiegły ten, a zuchwały żebrak, i na dwór królewski się udawał, gdzie często obfite zbierał plony, często zaś sińce i batogi. Kostel udawał przy tém nabożnego, świątobliwego nieomal człowieka, ale w ukryciu dopuszczał się różnych występków, oddawał się pijaństwu, rozpuście, słowem, rozpuścił się jak bicz albo torba dziadowska. Tak jak Szczudło wzorem był poczciwego, dobrego żebraka, jakich mało; tak znów Kostel doskonałym był obrazem złych, zepsutych, rozpustnych żebraków, jakich na nieszczęście tak wiele. Takimi tedy byli owi dwaj żebracy.

I stało się, że razu pewnego, podczas kiedy w kościele odbywały się nieszpory, siedzieli oni dwaj żebracy w kruchcie; a że nie było nikogo, więc wdali się w gawędkę. Szczudło mówił: „Ja żyję tylko dla chwały Bożej, modłę się za ludzi, by im się dobrze powodziło, i za dusze umarłych, aby Bóg miłosierny nad niemi zmiłować się raczył, a o jałmużnę nie dbam wiele, byłem tylko miał tyle, ile potrzeba do życia, to Bogu dziękuję. A widzi Bóg, żebym mógł robić, tobym zaraz porzucił dziadostwo, a pracował i żył tylko dla chwały Bożej i pożytku ludzi. A cóż? nogi na wojnie w obronie ojczyzny pokaleczone, a lewa ręka bez władzy, i tylko ta prawa pozostała, by Boga i ludzi o trochę jałmużny błagać. Ale jednak jestem szczęśliwy, bo nic złego nie czynię, a nie z chciwości, ani z lenistwa żebrzę, ale aby życie utrzymać. Mam też nadzieję, że ten Bóg miłosierny, w Trójcy Przenajświętszej jedyny,

zabierze mnie może niedługo, choć wielkiego grzesznika, do chwały świętej, a i tam będę się modlił za ludzi. Do czego mi dopomóż Królowo Niebieska, Matko Boża!“ Tu pobożny Szczudło zmówił pozdrowienie anielskie.

Na to rzecze Kostel: „Ha, ha, mój bracie, toś ty widzę bardzo niedoświadczony, a prawiebym powiedział głupi. Ja inaczej sobie postępuję: oto trzeba używać świata, póki służą lata. Więc też choć mógłbym pracować, to wolę na lekki sposób starać się o pieniądze; ażebym jak najwięcej dostał, to udaję pobożnego i różnych innych chwytam się sposobów. A potem, jak też nazbieram grosiwa, to sobie żyję, jak pan jaki. A po śmierci niech tam będzie jak chce, hyle teraz było dobrze. Ty dla chwały Bożej żyjesz, a co ja to się wiele o chwałę Bożą nie troszczę, u mnie król i panowie wszystkim, do nich się też modlę. A i wczoraj jakem powiedział do króla: Najjaśniejszy, najpotężniejszy mocarzu, cesarzu, jakiego jeszcze nie było i nie będzie na świecie, tak i podobnie kiedym mówił, to zaraz dostałem trzy dukaty. Módl się ty do Boga, ja zaś wolę króla i panów patrzeć.“

Tak mówił, a raczej bluźnił przeciw Bogu niegodziwy Kostel, ale zaraz zobaczycie, jak go też Pan Bóg ciężko za to ukarał. Szczudło zaś wielce tą mową zasmucony westchnął ku niebu, aby Bóg raczył oświecić niedobrego Kostela. Zakończyła się rozmowa, bo lud zaczął wychodzić z kościoła. Lecz rozmowę tę słyszał król, który przebrany chodził nieraz po kraju. Tylko uważajcie dobrze, co się dalej stanie.

Nazajutrz przy tym samym kościele znów się znajdowali Szczudło i Kostel, ale że teraz właśnie wiele

ludzi wychodziło z kościoła, więc obaj się modlili. Kostel klęknął przy progu, a wrzeszczał na całe gardło, by nie zapomniano o nieszczęśliwym kalece.

„Najjaśniejszy, oświecony panie, najjaśniejsza, oświecona pani! zmiłuj się zmiłuj nad nieszczęśliwym kaleką“, tak i tym podobnie wciąż krzyczał, a nie jeden téż litością lub próżnością poruszony, hojną obdarzał go jałmużną. Szczudło tymczasem w kącie smętarza modlił się po cichu zapomniany i niewidziany. Żadnej mu téż nikt nie udzielił jałmużny.

Wtém zbliżył się orszak dworaków z królem na czele, a na złotej tacy, którą niósł sługa, dwa leżały bochenki chleba: jeden piękny, światły, jak śnieg biały, a drugi czarny i ciężki, jak kamień, bo niewypieczony. Szczudło dostał smaczny chleb pszen-ny, a Kostel ów twardy i czarny.

Oddalił się król niebawem. Zawstydził się Kostel, a gniewem i zazdrością zdjęty, spoglądał na piękną bułkę chleba, którą Szczudło otrzymał; a spostrzegłszy, że tenże cały zatopiony w modlitwie nie baczył, co się w koło niego dzieje, cichaczem wziął mu biały kołacz, a swój chleb czarny mu podłożył. Skończywszy Szczudło modlitwy zabrał się do posilenia, podczas kiedy Kostel w najlepsze pszen-ny chleb ze smakiem zjadał.

„A widzisz“, rzekł, „król dał mi piękny chleb biały, bo ja w króla wierzę, a tobie czarny i suchy; i cóż ci teraz Bóg pomoże?“

„Nie bluźń i nie grzesz ciężko“, rzekł Szczudło, „ja i za ten czarny chlebaszek Bògu dziękuję, tak samo jak za piękny, biały.“

Oddalił się Kostel z szyderym uśmiechem, a Szczudło swój chleb rozłamał. Lecz jakżeż się zdumiał, kiedy oto mnóstwo dukatów brzęcząc wypadło

na ziemię. Szczudło nie dowierzał swym oczom; zdawało mu się, że to sen; lecz przekonawszy się, że to rzeczywiście były dukaty, i wymówiwszy tylko te słowa: *Kto z Bogiem, to i Bóg z nim*, pobiegł co rychlej na zamek królewski podziękować królowi za doznaną łaskę. Ten zadziwił się wielce, gdyż w próżności serca przeznaczył te skarby Kostelowi za to, że go tak wysoko cenił; a widząc, że cudowném zrządzeniem Opatrzności Szczudło tę hojną otrzymał jałmużnę, rzekł te słowa: „Bogu nie mnie dziękuj“, a mimowolnie pomyślał: *Kto z Bogiem, to i Bóg z nim*.

Szczudło stał się takim sposobem nagle majątnym człowiekiem; ale czy myślicie, że zapomniał o Bogu, jak to wielu czyni, kiedy przyjdą do majątku? O nie, tém goręcej wielbił Boga, a za otrzymane dukaty zbudował kościół i dom dla ubogich, gdzie też sam osiadł na stare lata. I wiele czynił dobrego przez cały ciąg żywota, a nieraz powtórzył to przysłowie: *Kto z Bogiem, to i Bóg z nim*.

Chcecie wiedzieć, co się stało z Kostelem? Oto z gniewu i zazdrości, że go minęły dukaty, ciężko zachorował, a wtedy się pokazało, jak to źle tylko na ludzi się spuszczać, bo ci wszyscy opuścili Kostela. I leżał on jak Łazarz opuszczony. Dowiedziawszy się Szczudło o smutném jego położeniu, pospieszył natychmiast z pomocą, pielęgnowując go troskliwie w chorobie.

Ozdrowiał z czasem Kostel, ale ozdrowiał nie tylko na duszy, lecz i na ciele. Dobroć bowiem Szczudła i owo cudowne prawie zdarzenie z chlebem tak go wzruszyło, że już odtąd postanowił porzucić drogę występku. Jakoż w rzeczy samėj przykładem Szczudła wzmocniony poprawił się zupełnie; choć już prawda nigdy nie był takim doskonałym, jak

Szczudło, bo jak chwast trudno ze szczeniem wyko-
rzeni, tak i złe nałogi nie łatwo się dają wyrugo-
wać. I Kostel ostatek dni pospołu ze Szczudłem
spędził na modlitwie, a doznawszy jak to słodko żyć
dla chwały Bożej, powtórzył także nie raz: *Kto z Bo-
giem, to i Bóg z nim.*

Tak tedy spełniło się owo przysłowie, a i dziś
czyż ono się nie spełnia? O kochani czytelnicy! za-
piszcie sobie w sercu tę świętą prawdę, miłujcie Bo-
ga, wypełniajcie Jego przenajświętszą wolę, bądźcie
cnotliwymi, nie czyńcie nic złego, strzeżcie się mia-
nowicie pijaństwa i innych brzydkich grzechów, sło-
wem: bądźcie z Bogiem, to i Bóg będzie z wami i do-
brze wam będzie na świecie. ↗

Przytaczam tu także piękny wiersz, który nam
wymownie opisuje wielkość i dobroć Boga.

Do Boga.

O Ty Przedwieczny, co już lat tysiące,
Co dzień i gasisz i zapalasz słońce,
Boże! o Tobie jak ja myśleć lubię,
Lecz zawsze myśląc w tych myślach się gubię.
Czy zwrócę okiem w błękit nieba czysty,
Gdzie tyle światła wije blask ognisty;
Czy zwrócę oczy ku tej nędznej ziemi,
Gdzie pełza robak przed stopy mojemu,
Wszędzie mi dzieła Twe zastąpią drogę,
A Ciebie Stwórco zobaczyć nie mogę.
I któż Ty jesteś Boże niewidomy?
Musisz być mocny, kiedy rzucasz gromy,
Musisz być dobry, kiedyś miłość stworzył,
Obyś mi Panie niebiosa otworzył!
Gdybym Cię ujrzał kiedyś jakim cudem,
Jakim Ty jesteś śpiewałbym przed ludem.
Teraz mam oczy zakryte pomrokiem,
Czuję Cię w duszy, lecz nie widzę wzrokiem.

A Ty mnie Panie w każdym kroku widzisz,
 A Ty mnie potem z wielu spraw zawstydzisz.
 Lecz Ty przebaczysz, jakążbyś miał chwałę,
 Karać stworzenie tak słabe i małe!
 Takim, co ręce ku niebu podnoszą,
 Czują, że słabi i o wsparcie proszą;
 Co się do Ciebie udają w pokorze,
 Takim przebaczysz, sprawiedliwy Boże!
 W tych tylko straszne pioruny uderzą,
 Których Bóg stworzył, a w Niego nie wierzą!

Potęga modlitwy.

Czysta z czystego serca płynąca modlitwa miłą jest Bogu i nieraz cudownym już sposobem spełnił ten Ojciec Niebieski gorące modły; częściej zaś porusza serca innych ludzi, aby spełnili to, o co błagamy, jak tego następujące opowiadanie jest także dowodem.

Za dawnych czasów żył w jednym wielkim mieście pewien bogaty kupiec. Był on sprawiedliwym, pobożnym, pracowitym, to też Bóg mu błogosławił. Szczęściło się owemu kupcowi na majątku, ale więcej jeszcze był szczęśliwym w domu. Żona jego była także nader bogobojną i cnotliwą, a kilkoro dzieci wstępowało w ślady rodziców, tak że było można się spodziewać, iż dzieci te wyrosną na dobrych ludzi.

Kilkanaście lat żył spokojnie, szczęśliwie ów kupiec pośród swojej rodziny, aż razu pewnego zmuszony był wyjechać daleko w świat po towary. Obiecał żonie i dzieciom, że za miesiąc powróci; tymczasem minął jeden, drugi i trzeci miesiąc, a kupca jak nie widać, tak nie widać. Żona jego błagała

rzewnymi łzami Boga o łaskę, dnie i noce była niepokojną. I dziatki były bardzo smutne, nie widząc tak długo kochanego ojca. Różne niespokojne wieści tém więcej smuciły już i tak zakłopotaną rodzinę. To raz nadeszła wiadomość, że rzeki wylały i pozrywały mosty; to znów panowały niepogody; a nakoniec, co najgorsza, słyhać było, że w borach, które ów kupiec miał przebywać, zagnieździła się banda zbójców, którzy łupili i zabijali podróżnych.

Smutkiem skolatana matka rzekła raz do dzieci: „Moje kochane dzieci, ojca nie widać, bo może spotkało go jakie nieszczęście. Módlcie się tedy do Boga, aby się raczył zlitować nad nami i nie pozbawił was ojca, a mnie męża. Modłę się ja o to co dzień do Boga, ale módlcie się i wy dziatki kochane, a może waszj niewinnj próby prędzej Bóg wysłucha. Idźcie więc za miasto i tam przed obrazem Najświętszj Maryi Panny, gdzie niejednen cud już się spełnił, proście Boga, aby się zlitował nad ojcem.“

Skoro dziatki te słowa usłyszały, natychmiast pobiegły za miasto, gdzie był cudowny obraz. Tam przyszedłszy, ukłęknęły i zaczęły się modlić. Najprzód pobożne te dzieci pozdrowiły Przenajświętszą Trójcę i ucałowały ziemię na znak pokory. Potem zmówiły pobożnie Ojcie nasz, Zdrowaś, Wierzę w Boga i wiele innych modlitw.

Oj módlcie się dzieci, bo ojciec już niedaleko, ale grozi mu wielkie nieszczęście, gromada bowiem zbójców czycha na niego, aby mu wydrzeć majątek i życie. Jeden z tych zbójców siedział nawet, ukryty w krzakach, niedaleko tych dzieci, i słyisał ich szczerą, niewinną modlitwę.

Zmówiły już dziatki wiele modlitw, nakoniec za-

częły śpiewać litaniją do Najświętszej Matki. Jeszcze nie skończyły téj pięknej modlitwy, gdy oto usłyszały turkot wozów, a wkrótce i ojca jadącego spostrzegły. Wielka ztąd powstała radość, zwłaszcza gdy ojciec nadjechał i zaczął witać się z niemi, wypytując się o żonę, krewnych, co się stało w domu i t. d. Dowiedziawszy się, że w domu wszystko się dobrze wie dzie, a widząc, że dzieci są zdrowe, dziękował ów uszczęśliwiony ojciec w cichości Bogu za te tak radosne dla jego serca nowiny. Opowiadając sobie wtedy nawzajem wyruszyli w dalszą drogę ku miastu.

I szli sobie powoli obok wozów, radując się wielce, gdy wtém nagle świsnęło coś przeraźliwie, a na głos ten wypadło z za krzaków dwunastu zbójców. Były to brzydkie i straszne postacie. Oczy ich dziko błyszczały, a na twarzy malowała się żądza łupu. Do tego długie brody i obwisłe wąsiska, podarta odzież, miecze u boku, noże za pasem, a w ręku ogromne pałki, powiększyły przestach kupca, dzieci i służących. Okropny to był cios dla biednego ojca, który zaledwie kilka chwil cieszył się z dziećmi, a oto nagle neliściwi ludzie grożą mu odebraniem majątku, a co gorsza i życia. Westchnął nieszczęśliwy kupiec do Boga, błagając miłosierdzia, a potém zwrócił swą mowę do zbójców, pragnąc pobudzić ich do litości.

„Ach, bierzcie wszystko“, mówił on, „i wozy i towary, tylko nie odbierajcie mi życia. Miéjcie litość nad moją żoną i nad temi oto dziećmi, które gdy mnie utracą, sierotami będą. O nie czynicie mnie i tym dzieciom nic złego, a Bóg wam to kiedyś wynagrodzi.“

Lecz daremne były jego próśby, zbójcy rabowali

wszystko i już chcieli śmierć zadać kupcowi. Nie-szczęśliwy ów człowiek polecał się Bogu, gotując się na śmierć niechybną.

Wtém nagle zagrzniał głos donośny: „Stójcie, stójcie!“ był to głos starszego zbójcy, który spędził swych towarzyszy z drogi i rozkazał im się udać do lasu; do kupca zaś i dzieci powiedział, aby się udali bez trwogi do miasta. Rozrzewniony ojciec dziękuje mu serdecznie, ale na to odpowie mu zbójca: „Nie masz za co dziękować, bo wyznam ci szczerze, że gdyby nie szczerze modły tych dzieci, tobym ja pierwszy ci zadał cios śmiertelny. Tym dzieciom winie-neś zdrowie i życie, im więc, nie mnie, dziękuj. Opowiem ci, jakim to się stało sposobem. Od kilku dni słysząc, że tędy ma przejeżdżać bogaty kupiec, czatowałem tu u tego obrazu Matki Boskiej na jego przybycie. Dziś gdy tu przybyłem, ujrzałem kilkoro dzieci, jak się rzewnie modliły do Boga, prosząc o szczęśliwy powrót ojca. Z początku zacząłem się śmiać z tych dzieci, którym się zdawało, że uproszą u Boga łaskę dla ojca, gdy tymczasem już śmierć jego w myśli mojej była postanowioną. Lecz gdym dalej słuchał, wtedy przejęła mnie litość i trwoga. Och — przyszły mi na myśl ojczyście moje strony, które niestety opuścić musiałem. Przypomniałem sobie te błogie czasy, kiedy i ja byłem takiem dzie-cięciem i tak samo rzewnie się modliłem. Ach i ja mam żonę i takiego małego syna, a nie wiem, co się z niemi dzieje. Na to wszystko, gdy wspomnia-łem, wówczas taka rzewność i tęskność rozlała się w mém sercu, że buława mimowolnie wypadła mi z ręki. Wtedy to postanowiłem tym dzieciom i ojcu tychże darować życie i zdrowie. Tak więc niewinna modlitwa tych dzieci skruszyła me zatwardziałe

serce. Teraz jedź kupcze do miasta, a wy dziatki zmówcie téż czasem za mnie paciórek, aby ten Bóg wszechmogący nademną zlitować się raczył.“

Uszczęśliwiony kupiec udał się wraz z dziećmi do miasta. O jakże się wszyscy weselili i dziękowali Bogu, gdy przybyli do domu.

Nazajutrz cała ta rodzina udała się do kościoła, aby podziękować Bogu za doznane miłosierdzie.

Ów zbójca zaś, jak powiadają, porzucił swe niepoczciwe rzemiosło i stał się dobrym człowiekiem. Może to dzieci dlań u Boga tę łaskę wyprosiły.

Tak więc niewinne i szczerze modły dzieci skruszyły zakamieniałe serce rozbójnika. Jeżeli tedy nawet takiego człowieka zdolną jest modlitwa poruszyć, jakżeż tém więcej może nam wyjednać u Boga łaskę i błogosławieństwo? Dziś prawda nie ma już rozbójników, ale nieszczęścia i przygody, jak dawniej, tak i dziś, ścigają biednego człowieka. Szukajmy więc pociechy w modlitwie — a niech ta modlitwa tak będzie szczerą i niewinną, jak owych dziełek, to podobnie Ojciec Niebieski ziści nasze gorące prośby. Módlmy się tedy prosząc o zbawienie wieczne dla nas i dla innych ludzi, a nie zapomnijmy téż błagać Pana nad Pany o szczęście dla naszej ojczystej ziemi.

Jeden z najslawniejszych polskich pisarzy, Adam Mickiewicz, który pisał prześliczne wiersze, opisał to zdarzenie wierszem, który tu zamieszczam, abyśmy tém lepiej poznali wielkie znaczenie i potęgę modlitwy.

Powrót Taty.

Przez

Adama Mickiewicza.

„Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem

Za miasto pod słup na wzgórek,

Tam przed cudownym klękniście obrazem,

Pobożnie zmówcie paciórek.

Tata nie wraca; ranki i wieczory
 We łzach go czekam i trwodze,
 Rozlały rzeki, pełne zwierza bory,
 I pełno zbójców na drodze.“

Słyszac to dziatki, biegną wszystkie razem
 Za miasto pod słup na wzgórek,
 Tam przed cudownym klękają obrazem,
 I zaczynają paciórek.
 Całują ziemię, potem w imię Ojca,
 Syna i Ducha świętego
 Bądź pochwalona przenajświętsza Trójca
 Teraz i czasu wszelkiego.

Potem Ojcie nasz i Zdrowas i Wierzę,
 Dziesięcioro i Koronki;
 A kiedy całe zmówili pacierze,
 Wyjmą książeczkę z kieszonki,
 I litanją do Najświętszej Matki
 Starszy brat śpiewa, a z bratem
 Najświętsza Matko, przyspiewują dziatki,
 Zmiłuj się, zmiłuj nad tatem!

Wtém słyhać turkot, wozy jadą drogą,
 I wóz znajomy na przedzie;
 Skoczyły dzieci i krzyczą jak mogą:
 „Tata, ach tata nasz jedzie!“
 Obaczył kupiec, łyzy radosne leje,
 Z woza na ziemię wylata;
 „Ha! jak się macie, co się u was dzieje?
 Czyście tęskniły do tata?”

Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
 A ot rożynki w koszyku;“
 Ten sobie mówi, a ten sobie mówi,
 Pełno radości i krzyku.
 „Ruszajcie!“ kupiec na sługi zawoła,
 „Ja z dziećmi pójdę ku miastu.“
 Idzie . . . aż zbójcy obkoczą do koła,
 A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
 Wzrok dziki, suknia plugawa,
 Noże za pasem, miecz u boku błyska,
 W rękę ogromna buława.
 Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
 Tulą się pod płaszcz na łonie;
 Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
 Drżące ku zbójcom wznosił dłonie.

„Ach bierzcie wozy, ach bierzcie dostatek,
 Tylko puszczajcie nas zdrowo;
 Nie róbcie małych sierotami dziątek
 I młodej małżonki wdową.“
 Nie słucha zgraja; ten już wóz wyprzęga,
 Zabiera konie, a drugi:
 „Pieniądzy“ krzyczy i buławą sięga,
 Ów z mieczem wpada na sługi.

Wtém „stójcie, stójcie!“ krzyknie starszy zbójca,
 I spędza bandę precz z drogi,
 A wypuściwszy i dzieci i ojca,
 „Idźcie,“ rzekł dalej, „bez trwogi.“
 Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
 „Nie dziękuj; wyznam ci szczerze,
 Pierwszybym pałkę strzaskał na twój głowie,
 Gdyby nie dziątek pacierze.

Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
 Darzą cię życiem i zdrowiem;
 Im więc podziękuj za to, co się stało,
 A jak się stało, opowiem:
 Zdawna już słysząc o przejeździe kupca,
 I ja i moje kamraty,
 Tutaj za miastem przy wzgórk u słupca
 Zasiadaliśmy na czaty.

Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrósty,
 Modlą się dziatki do Boga;
 Słucham, z początku porwał mię śmiech pusty,
 A potem litość i trwoga.

Słucham, ojcyste przyszyły na myśl strony,
 Buława upadła z ręki;
 Ach! ja mam żonę i u mojej żony
 Jest synek taki maleńki.

Kupcze jedź w miasto, ja do lasu muszę,
 Wy działki na ten pagórek
 Biegajcie sobie, i za moją duszę
 Zmówcie też czasem paciórek.“

Szczęśliwy człowiek.

Mało ludzi na świecie prawdziwie szczęśliwych, lecz kto temu winien? najczęściej ludzie sami. Nie koniecznie trzeba być majątnym, aby być szczęśliwym, i najuboższy człowiek nim być może, jak oto tego następująca uczy przypowieść.

Pewien król zachorował śmiertelnie. Daremne były zabiegi lekarzy, aby go uratować. Nakoniec poradził jeden bardzo mądry i stary lekarz, że król wtedy ozdrowieje, jeżeli wdzieje na się koszulę człowieka szczęśliwego i 24 godzin mieć ją będzie na sobie.

Myśli sobie król: toć nie łatwiejszego, jak znaleźć szczęśliwego człowieka. Woła tedy swych ministrów i pyta: czy są szczęśliwi? — Gdzie tam; ten ma wiele pracy, ów niezdrów, i tak każdemu czegoś trzeba. Wysła tedy król posłów, aby po całym kraju szukali szczęśliwego człowieka.

Poszli oni najprzód szukać tego szczęśliwca w pałacach; ale przekonali się, iż szczęście w pałacach nie zamieszkuje. Znaleźli tam tyle nieszczęść, chorób, nudów, narzekań na świat, złych rodziców i dzieci, że czempredzój opuszczali pałace.

Ale nie lepiej im się darzyło u mieszczan i rolników. I tam miał każdy swego robaka; i tam, choć nie było tyle urojonych nieszczęść, co w pałacach, bo przy pracy większa część nieszczęść znika, jednak żaden z tych ludzi nie nazwał się szczęśliwym.

I już wracali owi posłowie napowrót bez owęj koszuli, gdy wtém idąc przez las usłyszeli gwizdanie i śpiew wesoły. Skierowali kroki w tę stronę, z kąd ich głos dochodził, i oto widzą węglarza, który w pocie czoła pracuje przy węglach, a choć w dymie i kurzawie, śpiewa sobie serdecznie aż miło.

Mówią z cicha do siebie posłowie: miałżeby ten człowiek być szczęśliwym? ależ to niepodobna, aby tak ubogi i tak ciężko pracujący człowiek był szczęśliwym.

Pytają go jednak, czy jest szczęśliwym?

„A jakże“, odpowiada węglarz, „jestem zdrow, wesół; a choć jem tylko czarny chleb i popijam wodę, to nie pragnę nic więcej. Dziękuję Bogu za to, co mi daje, i za nic w świecie nie mieniałbym mego ubóstwa i wesołości za największe bogactwa. Tak, tak moi panowie“, i zaśpiewał wesołą piosenkę, że aż posłom żal się zrobiło, że oni nie są tacy szczęśliwi.

Rzekną do niego po chwili: „O trzykroć szczęśliwy człowieku, a nie uczyniłbyś nam wielkiej przysługi i to dla samego króla; oto chorym jest bardzo pan nasz miłościwy, i dopiero wtedy ozdrowieje, gdy 24 godzin będzie miał na sobie koszulę szczęśliwego człowieka; pożycz nam więc dla króla twój koszuli.“

Odrzeczce węglarz: „Chętniebym to uczynił, ale cóż kiedy tylko to mam, co na mnie widzicie, to jest te szarawary (spodnie) i gołe plecy, a koszuli nie mam.“

Zasmuceni, a więcéj jeszcze zadziwieni posłowie odeszli, a węglarz śpiewał sobie znowu, aż się po lesie rozlegało.

Otóż nauka dla nas, że można być przy największém ubóstwie szczęśliwym, jeżeli się zadowolnimy tém, co mamy, a miernie i skromnie żyjemy. Pracuj każdy ochoczo, nie pragnij cudzego, wypełniaj tve powinności, kochaj Boga i ludzi, a będziesz szczęśliwym. Jużto Jan Kochanowski, nasz sławny polski rymotwórca (wierszopis), przed trzystu laty żyjący, powiedział:

„Ten pan zdaniem mojem,
Kto przestał na swoim.“

Tenże Kochanowski w inném miejscu powiedział, że chociażby miał kto wszystkie bogactwa, a nie miał czystego sumienia, ten nie jest szczęśliwym; jak nawzajem kto czyste posiada sumienie, ten przy chlebie i wodzie będzie szczęśliwym.

Dobra Helenka,

czyli:

Kto ubogiemu daje jałmużnę,
Temu bywa niebo dłużne.

W pięknej okolicy nad Wartą mieszkali państwo Godomscy. Posiadali oni małą, lecz urodzajną wioskę, cieszyli się czerstwém zdrowiem, a czworo dobrych i pięknych, jak aniołki dzieci, sprawiało im niezmierną radość i nadzieję. Kilka lat kosztowali tego szczęścia, lecz oto Bóg niedościgły w swych wyrokach liczne zesłał na tę rodzinę nieszczęścia. Pożary, gradobicia, nieurodzaj, uszczupliły majątek

państwa Godomskich, a na domiar nieszczęścia troje ich dziątek pożegnało ten świat ziemski.

Posmutniał pan Godomski, lecz jednak nie tracąc wiary, zaufania, nadziei w Bogu, pracował usilnie, aby zasłonić od nędzy żonę i córkę, której Helena było na imię. Wyczerpnęły się atoli nie długo jego siły, zachorował ciężko i wkrótce pośpieszył za dziećmi do rajskiej krainy. Pozostała wdowa zniosła te ciężkie bole i zajęła się troskliwie wychowaniem jedyne go dziecięcia, które jój pozostało.

Jak kwiatek w cichém ustroniu rośnie i zakwita pięknie nieznanym, tak i Helena zdala od świata jaśniała wdziękami, a więcej jeszcze cnotą.

Po kilku latach spokojnego życia i matka Helenki ciężko zachorowała i w wielkie popadła niebezpieczeństwo utracenia życia. Któż sobie zdoła wystawić boleść biednej Helenki? Oto ostatnią podporę, ukochaną matkę utracić i sama jedna pozostać miała na świecie sierotą i to w tak młodocianym wieku, bo zaledwie czternaście lat skończyła. To też wciąż modliła się Helenka do Boga i błagała o zdrowie dla kochanej matki. Lecz mimo modlitw, starań i ciągłych czuwań Helenki, choroba matki wciąż się stawała niebezpieczniejszą, tak że w końcu prawie żadnej nie było nadziei ozdrowienia. Przecież mimo to nie traciła nadziei dobra córka, lecz co mogła czyniła, aby matka ozdrowiała.

W końcu atoli zapanował niedostatek w skromnym domku, bo wszelkie zapasy wyczerpały się na chorobę matki. Razu pewnego nie jadła nic Helenka dzień cały, więc nazajutrz rano pobiegła kupić sobie chleba. I wyszła smutna.

Był to piękny, majowy poranek, jutrzeńka jaśniała cudnie na niebie, słońce nie oświecało jeszcze

ziemi. Kroplista rosa błyskała na trawie i kwiatkach, ptaszki kwiliły na drzewach, a powietrze było świeże, wonne. Helenka orzeźwiona westchnęła ku niebu, a widząc niedaleko krzyż drewniany, śpieszyła doń, aby się pomodlić trochę. Zbliżywszy się do krzyża ujrzała przy nim siedzącego starca, który odmawiał modlitwy poranne. Broda siwa spływała mu na piersi, twarz cała tchnęła łagodnością i pokojem. Dziewczynka się zatrzymała, a starzec tak do niej przemówił: „Gdzież tak śpieszysz dziewczeczko, sama jedna ze łzami w oczach; powiedz, co ci to dziecię?” Lecz Helenka westchnąwszy tylko płakała rzewnie. Rzecz dalej starzec: „I czemu płaczesz, czy się mnie boisz?”

Odrzekła Helenka: „O ja się ubogich nie boję, owszem kocham ich, bo tak każe mi matka; a kiedy z nich który dawniej przyszedł do chatki, to zawsze mu sama wynosiłam chleba. Ale teraz matka moja ukochana jest bardzo chorą, a ja choć się wciąż modlę do Boga, to jednak nic nie pomaga; ale módl się i ty staruszk, a może proźby twoje wyjednają łaskę u Boga dla mojej kochanej, biednej matki; tę parę zaś groszy przyjm ode mnie, bo widzę, żeś biedny, a ja wolę sama nie jeść, byleby tylko twoja modlitwa matkę pokrzepiła.“

„O pokrzepi“, zawołał starzec; „nie płacz więc dziewczeczko, szczerą twoją proźbą wysłuchana, bo sam Chrystus powiada, że temu niebo dłużne, kto ubogiemu daje jałmużnę.“

A wtém ledwie wyrzekł te słowa, blask niezmierny błysnął naokół, szaty grube opadły, a starzec zamienił się w anioła. Z ramion dwoje pięknych skrzydeł wyrosło, trzy gwiazdy jaśniały nad głową, ubrany był w piękną złocistą szatę, przepasaną jasną tęczą,

palnę dzierzył w dłoni, a otaczała go mgła przezroczysta. I wznosił się ku niebu, a do dziewczynki, tulącej wzrok w dłonie, te wyrzekł jeszcze słowa: „Spiesz Helenko do chatki, matka twoja jest już zdrową, bo kto biednemu daje jałmużnę, temu bywa niebo zapłatę dłużną i Bóg hojnie go nagrodzi.“

A to wyrzekłszy począł się coraz wyżej w górę wznosić, coraz wyżej, wyżej, aż nareście światło tylko jeszcze piękne błyskało, a w końcu zniknęło wszystko. Przeleżała się bardzo Helenka, a do chatki wracać nie śmiała, obawiając się, ażali nie było uludą to piękne widzenie. Wróciła jednak, a któż opisze radość Helenki, skoro ujrzała, że matka jest zdrową. Padła najprzód na kolana przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i podziękowała Bogu za doznaną łaskę. Opowiedziała potem matce zdarzenie, którego doznała, a uszczęśliwiona matka przycisnęła Helenkę do serca i gorąco westchnęła ku niebu. I długo jeszcze żyła matka Helenki, a z czasem i majątek napowrót odzyskała. Helenka zaś całe życie była dobrą i cnotliwą.

Tak to Bóg nagrodził dobre serce Helenki i tak też po dziś dzień jeszcze błogosławi dobrym dzieciom, które kochają rodziców i pamiętają o ubogich, nieszczęśliwych i kalekach.

Brzoza Gryżyńska.

Piękną jest nasza ojczyzna, tém piękniejsza, że ozdobiona jest tylu prześliznami podaniami z dawnych czasów. Rzadką jest w Polsce okolica, w którejby nie krążyło jakie podanie, mieszczące

w sobie często wielką naukę lub przestrożę dla późnych pokoleń. I Wielkopolska (dzisiejsze W. X. Poznańskie), gdzie się to wznoszą: Gniezno, Poznań, Kruświca, starodawne miasta polskie, obfituje w liczne podania ludowe. I oto jedno takie z okolic Kościana, miasta kilka mil od Poznania odległego, podaje dziś ku przestrodze rodziców i dzieci.

Otóż tedy w ziemi wielkopolskiej, w powiecie kościańskim, wznosi się wioska Gryżyna. Niegdyś dawnemi laty stał przy tej wiosce kościół, dziś atoli już tylko gruzy tego kościółka sterczą po za wioską, a gruzy te ocienia biała brzoza, która tam od niepamiętnych rośnie czasów. Zkąd powstało to drzewo, jakiego zdarzenia jest ono pamiątką, świadectwem? Przechodniowi o to pytającemu opowiada lud Gryżyny i okolicznych wiosek następujące podanie:

Bardzo dawnemi czasy żyła w Gryżynie wdowa, która miała jednego synka, a że go tylko jednego miała, więc go zbytnie pieściła i za wiele mu pobłażała. Nie zwracała wcale uwagi na małe przewinienia chłopczyka, niby że to dziecko jeszcze, które nie wie, co robi, więc jakżeż je za to karać. Tak myślała zaślepiona matka, jak jeszcze wielu rodziców po dziś dzień podobnie myśli. Ów chłopczyk też tak nareszcie się popsuł, że raz rozgniewany nawet matkę uderzył. Należało surowo dziecko ukarać, bo jakżeż ma się ono nauczyć szanować starszych, a mianowicie ojca i matkę, jeżeli nawet za czynne znieważenie rodziców nie odbierze kary? Przecież matka owa nie ukarała dziecka za ten postępek.

Wkrótce potem zachorował ów chłopczyk i umarł. Plakać i wyrzekać biedna matka, co niemiara, ale daremne były jej łzy i narzekania, nie wróciły one dziecku życia, bo kto raz umarł, ten się rozstał

z ziemskim życiem na zawsze. Pochowano tedy na smętarzu zwłoki onego dziecięcia, a matka wciąż po niem płakała.

Nie długo potem dziwne zaczęły się dzieć rzeczy na smętarzu, owo dziecko bowiem, które w zapaleczywości na własną nawet matkę rękę podniosło, nie miało w grobie pokoju, bo wciąż wysuwało rączkę po nad mogiłę. Zdziwił się wielce pleban, gdy się o tém dowiedział. Udał się tedy na smętarz i gorąco się modlił, a nareszcie rączkę ową w grób wciśnął. Ale daremne modły i błagania, rączka znowu z zielonój wyrosła mogiły. Tedy zadzwonić kazał pleban i zwołać wszystkich mieszkańców wioski. A kiedy zdziwieni i potrwożeni starcy, kobiety, młodzież i dzieci do koła mogiły stanęli, wtedy zapytał ksiądz matki, co to znaczy, że zmarłe dziecko nie ma w grobie pokoju, ale wciąż wysuwa rączkę z mogiły. Wzbraniała się z początku nieszczęśliwa matka wyjawić tajemnicę, a nakoniec na usilne nalegania księdza, wyrzekła wśród rzewnych łez i jęku, że synek ten zbytnią popsuty pieszczotą, raz ją w gniewie uderzył, a ona go za to nie ukarała.

Tedy rzekł kapłan: „Syn twój za owo przewinienie domaga się ziemskiej kary, aby uniknął wieczystej, a więc bierz różgę i ukarz tve dziecie.“ Acz ze ściśnioném sercem i na pół nieżywa, dokonała biedna matka kary, i oto za ledwie różczką dłoń uderzyła, natychmiast taż się w grób cofnęła.

Śmiertelny przestrah ogarnął serca wszystkich przytomnych, a niejedni rodzice, którzy zbytńie dzieci pieścili, postanowili w większój je chować karności; niejedno znowu dziecko patrząc na owo straszliwe zjawisko, przedsięwzięło sobie, więćej niż do tąd słuchać i szanować swych rodziców.

Ksiądz zaś ów na pamięć tego zdarzenia zasadził ową różczkę, i z téj oto różczki wyrosła z czasem brzoza, która po dziś dzień przy wiosce Gryżynie się wznosi, niejako żywe przypomnienie rodzicom, by dzieci dobrze chowali, a dzieciom, by rodziców słuchały. I dotąd w poblizkich Gryżynie wioskach powtarza sobie lud owo podanie, a nieraz przychodzą pod tę brzozę dzieci i spoglądają na nią w zadziwieniu. W okolicznych wioskach znajdują się podobnie różczki z onéj brzozy, aby karać nieposłuszne i niesforne dziatki.

Podanie to opisał prześlicznym wierszem żyjący dotąd sędziwy piewca wielkopolski Franciszek Morawski, którego to wiersza mogą się dzieci po szkołach uczyć na pamięć, aby tém lepiej owo podanie sobie spamiętały. Otóż tedy ów wiersz.

Brzoza Gryżyńska.

Przez

Franciszka Morawskiego.

Wznosi się w gruzach, na gryżyńskiej ziemi
 Kościół świętego Marcina;
 Głośno on niegdyś hymny brzmiał boskiem,
 Dziś głucha w polu ruina.
 Mnóstwo tam grobów i mogił do koła
 Liczne kryje pokolenia,
 A biała brzoza, jak skrzydłem anioła
 Cichy sen zmarłych ocienia.
 Jeżeli to drzewo, pierwszy wieniec wiosny,
 Ciekawość twoją obudzi,
 Zkąd polubiło ten pobyt żałosny,
 Gryżyńskich spytaj się ludzi.

Onego czasu, lecz któż wie lat wiele?

W prostym ci rzekną sposobie,

Zmarło tu dziecię, i przy tym kościele

W zimnym złożono je grobie.

Cicho, cichutko w swój mogiłce leżał
 Antoś, matczyzna nadzieja,
 Kiedy wtém kopacz do księdza przybieżał,
 I tak strwożył dobrodzieja:

„Jakieś nam lichy na smętarz się wdarto,
 Próżno człek strzeże i czuwa;
 Dziecię, co właśnie przed tygodniem zmarło,
 Wciąż rączkę z grobu wysuwa.“
 Dziwi się pasterz, krzyż i stułę bierze,
 I biegnie na miejsce zjawiska;
 I trzykroć żegna i zmawia pacierze,
 I sam rączkę w ziemię wciska.

Wznosi się sercem, duszą w niebo wznosi,
 Przy drobnej klęczy mogiłę,
 Ale daremnie i błaga i prosi,
 Widmo powraca za chwilę.
 Budzi się rączka tajemniczej siły,
 Wzrusza swój wzgórek grobowy,
 I znów z zielonej wyrasta mogiły,
 Bieluchna, jak śnieg marcowy.

Dzwoni więc pleban, całą wioskę woła,
 Młodzież i starce i dziatki,
 A kiedy wszyscy stanęli do koła,
 Tak się odzywa do matki:
 „Co w syna twego dzieje się tu grobie,
 Ja ludzką myślą nie schwycę;
 Samój to tylko wiadomém jest tobie,
 A więc wyjaw tajemnicę.“

Wzbrania się matka i zalewa łzami,
 I ręce łamie z rozpaczny,
 Gdy wtém strasznemi zaklęta słowami,
 Tak się wśród jęku tłumaczy:
 „Kara to mojej, matczynój ślepoty,
 Bóg mi złem za złe odmierzył,
 Synek ten memi popsuty pieszczoty,
 Raz mnie w swym gniewie uderzył.“

„Bierz więc tę różgę i chłószcz rękę syna!
 Tak pasterz na nią zakrzyknął,
 „Ziemskiej on się tu kary dopomina,
 Aby wieczystej uniknął.
 Uderz!“ zawoła, i silném ramieniem
 Matka do grobu ciągniona,
 Odwraca oczy i z ciężkiém westchnieniem
 Okropnej kary dokona.

I patrz! zaledwie różczkę puszcza z dłoni
 I pada, jakby nieżywa,
 Sama się rączka w grób swój cofa, chroni,
 I znów ją ziemia pokrywa.
 I wszystkich serca zimny przestach ściska,
 Śmiertelnym dreszczem przenika,
 A ksiądz, na pamięć straszego zjawiska,
 Różczkę na grobie zatyka.

I drugim cudem, w pierwszej zaraz wiosnie,
 Gęsty liść ją ozielenia,
 Coraz się wyżej i wzmaga i rośnie,
 W rozległe drzewo zamienia.
 Runął kościółek, i niejedne czasy,
 Niejedna przeszła nawała,
 Wałą się dęby, wałą całe lasy,
 A brzoza stoi, jak stała.
 I wciąż liczniejsze przychodzą tam dzieci,
 Patrzą nań w strachu i grozie,
 I coraz dalej i słynie i leci
 Powieść o gryżyńskiej brzozie.

O Franciszku Karpińskim,

co to ułożył pieśń: „*Kiedy ranne wstają zorze,*“
jak uszanował ojca.

Bardzo często słyszeć można skargi o złém wychowaniu dzieci przez rodziców, jako téż o nieusza-

nowaniu i nieposłuszeństwie dzieci względem rodziców. Ciężki zaiste grzech popełniają rodzice, jeżeli nie wychowują swych dzieci w karności; ciężej zaś grzeszą jeszcze dzieci, jeżeli nie kochają i nie szanują rodziców. Lecz nie moją rzeczą zastanawiać się nad temi pytaniami, chcę raczej w żywym podać przykładzie piękny przykład do naśladowania tak rodzicom, jak i dzieciom.

Któż z was czytelnicy nie słyszał o Franciszku Karpińskim, a jeżeli o tym rymotwórcy polskim nie wie, to zna zapewne sławną pieśń jego: „Kiedy ranne wstają zorze.“

Jak Polska długa i szeroka, tak i pieśń owa znana jest i śpiewana. W kościołach, szkołach, pałacach, chatach, brzmi pieśń ta serdeczna. Nie raz wędrowiec w podróży na widok zorzy porannej mimowolnie zaśpiewa pieśń onę na cześć i chwałę Stwórcy. Otóż tedy o twórcy tej pięknej pieśni mówić chcemy, a raczej przytoczymy jego własne słowa, jak on opisuje swoje postępowanie z ojcem.

„Po skończonych naukach“, pisze Karpiński, „przyjechałem na święta do rodziców. Mielśmy zawsze jak największe dla matki, a szczególnie dla groźnego ojca uszanowanie. Nie można było w przytomności jego siedzieć, stanąć do niego tyłem, a nawet o ścianę, stojąc przed nim oprzeć się. (Taki dawniej w Polsce był zwyczaj.) Pamiętałem zawsze to wszystko i chętnie sobie przykrość zadawałem, byłem ojca nie obraził. Chodził raz starzec po izbie, a ja z kimś rozmawiając wszystkie te wyżej wspomniane ostróżności względem ojca zachowałem, kiedy razem przystąpiwszy do mnie, ciężki mi wyciął policzek, i znowu po izbie, jak przedtém, przechodził się. Nie wolno było pytać się, za co to? W milezeniu skromném,

z oczyma w ziemię spuszczeni, czekałem końca. Wtém ojciec mój rzucił mi się na szyję, i mówić ze łzami zaczął: „Synu mój, ja prostak, bo czytać tylko i ledwo co napisać umiem, a ty już filozof. Doświadczałem cię tylko, jak téż przyjmiesz policzek od ojca twego; ale kiedyś skromny i pokorny, kiedy mnie w starości szanujesz (wtém ukląkł w pośrodku izby i podniósłszy ręce do góry zawołał): O Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba pobłogosław to dziecko moje, niech żyje długo zdrowe i szczęśliwe!“ Padłem mu do nóg rozrzewniony mową jego, zapomniawszy nawet o policzku, a on klęczący do klęczącego mówił rozrzewniony: „Synu mój, szanuj ludzi, a będziesz szanowany; ten policzek, który odebrałeś od ojca, niechaj będzie ostatni, a gdyby kiedy do tego komu obcemu przyszło, żeby cię tak skrzywdzić miał, w krwi tylko nieprzyjaciela twego wżgarda takowa zmazać się może.“

Niedługo potém ten srogi, ale zarazem najcenniejszy ojciec pożegnał nas. Przed skonaniem po kilka razy ze mną mówić żądał, a widząc się blizkim zgonu, matce tylko zalecił: „Powiedz tam Franciszkowi, niech prawdą idzie na świat“, i to były jego ostatnie słowa.

Lecz dobry ten ojciec umiał także w dziecięcym wieku karcieć i wytępiać małe przewinienia, które z czasem w wielkie błędy, a nawet zbrodnie się przemieniają. Gdy raz bowiem mały Franciszek ukradł nożyk młockowi, wtedy kazał ojciec, aby tenże młock Franusiowi 100 plag wyliczył, a tyleż sam wyliczył mu jeszcze własną ręką. W kilka lat potém, gdy tracono pewnego zbrodniarza, wtedy zaprowadził ów ojciec Franciszka na miejsce tracenia, mówiąc: „Otóż i ten rozbójnik zaczął może od noży-

ków; a że go nikt nie karał, kończy więc na szubienicy.“ Takim był tedy ten dobry ojciec.

Jaki ztąd piękny wzór dla wielu rodziców, którzy mianowicie na przewinienia małych dzieci nie zwracają uwagi. Karpiński z drugiej strony pięknym jest przykładem dla dzieci, aby czeiły i szanowały swych rodziców. Bóg téż pobłogosławił bogobojnemu Karpińskiemu i ziścił słowa jego ojca, żył bowiem Karpiński 84 lata. Pamiętajcie na to synowie i córki, i bądźcie zawsze z uszanowaniem dla waszych kochanych rodziców.

P o d a n i e

o wieży siedmiu wodzów.

Nieraz narzekają ludzie, że nie widzą pomyślnych skutków swych usiłowań. Niejeden młodzieniec chciałby od razu osiąść wszystkie nauki, powolna praca jest mu niemiłą. Wszystko wymaga swego czasu. Rolnik gdy rzuca ziarno w ziemię wie, że jutro nie będzie sprzątał, mimo to jednak pracuje. Nie trzeba się zrażać przeciwnościami, choć się z początku nie wie, a przyjdzie chwila, że zamiary, byle tylko były uczciwe, a praca szczerą, pomyślnym będą uwieńczone skutkiem. Za przykład niech posłuży następujące podanie o wieży siedmiu wodzów.

Za bardzo dawnych czasów jedno wielkie wojsko, pod dowództwem siedmiu wodzów, wojowało po całym świecie lat wiele. Aż w końcu kiedy włosy im zbieleły, miecze popekały, a helmy stalowe spadły z ich głów, tedy rycerze oni postanowili spocząć po życiu pełném sławy i burz. A iście sławny i

burzliwy był ich żywot, gdyż między dwoma roz-
pierali się morzami, siedmiu rzek wielkich prze-
brnęli brody, sto razy z wrogami walczyli, i stokroć
na znak zwycięstwa stosy dziękczynne palili. Więcby
spocząć wrócili do ojczystej ziemi nad brzegi białej
Wisły, aby groby sobie wykopać i w nich legnąć
na wieki.

I gotowe już groby. Ale nim zasną na wieńcach
chwały, mają jeszcze pomnik-nieżyty po sobie wznieść:
wieżę wspaniałą, wyższą nad lasy, wyższą nad góry,
której szczyt miał ginać w niebiosach, i która przy-
szłym pokoleniom świadczyć miała o sławie i dziel-
ności wojska. Tak uradziło i rozkazało wodzów
siedmioro, którzy w białym, jak łabędź namiocie, na
siedmiu pękach strzał siedzieli i pili miód czerwony,
z białych, jak śnieg, czar. Starce to byli wiekiem,
lecz licem młodzieńce, złociste hełmy mieli na głó-
wach, umajone wiankami z dębu zielonemi, u boków
miecze ze stali, a w ręku dzierżyli gęśli srebrzyste.

Wola wodzów była pocziwemu wojsku świętą,
więc też rącho wzięli się wojacy do dzieła i od zgrzytu
toporów, kamiennych stukotu młotów, aż Wisła za-
drgała i głązy na głązach wznosiły się w górę; i już
wieczorem wieżyca wzrostem przenosiła półtora czło-
wieka. Zasię dnia drugiego, jakże się zdumieli wo-
jacy, nie ujrawszy wieży, łakoma bowiem ziemia
pożarła w nocy ciężką pracę mężów: byłaż to Boża
moc, czy czarów siła?

Zdziwili się mężowie i donieśli o tém dziwie wodzom.
Lecz na to jeden z hetmanów taką odpowiedź dał:
„Nie przystało mężom, choć się nie wiedzie, od raz
rozpoczętego odstępować dzieła.“

Tedy budowali dalej rycerze, i wieża co dzień
strzelała w górę, pośpieszniej niż zasiew po bujnym

deszczu w wiosnie. A co noc ziemia czy Bożem dopuszczeniem, czy czarów potęgą, pożerała ciężką pracę mężów, tak, że ledwie znak zostawiała, ale mężowie budowali dalej bez ustanku. I budowali wiosną, latem, aż w późną jesień, i walczyła praca mężów z ziemią, i niewiadomo, czy moc niewidoma, czy też mężów wola zwycięstwo odniesie.

Aż dnia jednego wodzowie zwołali drużynę i zwiastowali jej wieść błogą, że koniec już pracy, i że się ma odbyć uczta ostatnia, uczta pożegnania. Przysposobiono przybory i wieczorem uczta się zaczęła, a po skończonej biesiadzie, kiedy się na niebie ukazał jak srebro biały księżyc, tedy wodzów siedmioro powstało z siedzeń i za gęśli ująwszy pieśń wzniosłą śpiewać poczęli. Śpiewali, że rozstać nadeszła się pora i czas pożegnania na długie, lecz nie wieczne rozstanie, się zbliżył.

„Wam spocząć, nam odejść pora“, śpiewali, „aby serca ojców naszych, których duchy tam na gwiazdach wysokich, na świętym Wiecu* jaśnieją, dzieł naszych powieścią rozradować i aby im zdać sprawę z dzieł dokonanych. Lecz za lat tysiąc, gdy złe świat ten cały owładnie, i ucisk będzie wielki i sroga niewola, a cześć dobrego, jasnego Boga w poniewierce będzie, wtedy zejdziemy z Niebieskiego Wiecu i znajomym odgłosem gęśli zbudzim was, towarzysze broni, ze snu

*) My Polacy jesteśmy pochodzenia słowiańskiego. Za dawnych czasów istniał naród, który nosił nazwę Słowian, niby że się za pomocą jednego i tego samego słowa mógł zrozumieć. Był to lud łagodny, gościnnie, poczciwy. Ich zebrania zwały się *Wiecami*, tak nazwane, że świeciły niejako radą i mądrością narodowi. *Wiec* miał zatem wielkie u dawnych Słowian znaczenie. Oprócz Polaków należą także do Słowian Czesi, Rusini, Serbowie, Bułgarzy i inne drobniejsze plemiona.

wiekowego, i wstaniecie młodością nową promienni. I w imię jasnego, dobrego Boga będziem cześć świętą Jego podnosić, obalać złego ołtarze, i pójdziemy na nowe boje, zwycięstwo i chwałę, i nie spoczniemy aż złego upadną ołtarze, aż zwycięzko chorągiew wionie Boża. A teraz żegnamy was ostatnim uściskiem i ostatnią pieśnią.“

Gdy skoła pieśń ona wieszca, wtedy udało się onych wodzów siedmioro, a z nimi smutna drużyna, tam gdzie wieżycy zrab bielał na piasku, a stanąwszy kołem pieśń wzniosłą zabrzmiało w niezmięskiej nuconą mowie. Ale snąć ją pojęły siły tajemne, bo owo gwar i huk stał się wielki, aż się ziemia zatrzęsła, a wtém ku wielkiemu przestrachowi mężów słupem ogromnym olbrzymia wieża w górę strzelać poczęła. Na jój wierchołku stało siedmiu wodzów w złocistych hełmach na głowach, z srebrnymi w rękach gęslami. Wznosiła się szybko w górę owa wieżycyca, a wodzów hełmy, niby miesiące błyszczwały, aż w końcu mignęły siedmiu drobnymi gwiazdami na niebios błękiecie. Tak w jednej chwili wieża owa z ziemi wyrosła; daremne były zabiegi złych duchów, które wzniesieniu tój wieży przeszkodzić chciały. Wojsko stało chwilę w milczeniu, a potem wzniosłszy okrzyk niezmierny ku wodzom na pożegnanie, pokładli się w groby i zasnęli, a wiatr z Karpat nadbiegły piaskiem ich chobre zasypał ciała.

I wznosi się po dziś dzień wieżycyca ona gdzieś w Polsce naszój ukochanej, ale czar na nią taki rzucony, że jój nie dojrzy śmiertelnika oko, ni skała dotknięcie. Tylko czasem w noc cichą, pogodną, siedm drobnych gwiazdek miga na niebios błękiecie, to hełmy wodzów złociste tak świecą; tylko jakby srebrnych muszek, jak trawy rośnienie brzęk czasem

słyszeć się da, to gęśle wodzów tak grają, a kto te dźwięki ciche posłysz, ten marzy o wiekach dawnych, o czynach sławnych.

I pusto i cicho na tém wielkiem a świętém uroczysku smętarném, przerzniętém Wisłą, niby wstęgą żalobną, ale w lat tysiąc, gdy złe świat ten cały ogarnie, a ucisk będzie wielki i niewola, tedy zejda oni wodzowie z Niebieskiego Wiecu i pieśń zanuca wieszczą przy dźwięku strón gęśli na uroczysku smętarném, a na odgłos tój pieśni zbudzi się dzielne wojsko i zrzuci ziemię, co ich gniecie, jak więzień kajdany, i wstanie odmłodzone. I pójdzie w ślad za wodzami i będzie tępiło niewolę i złe wszelkie, a cześć jasnego, dobrego Boga i wolność przywracać będzie. Mężne to rycerstwo o dwa oprze się morza, siedmiu rzek przebrnie brody i nie prędjéj ustanie, aż cześć jasnego dobrego Boga przywróconą będzie. A wtedy ziemia ona, co się tyła krwi męczeńskiej złała, zabrzmi radością, a chwała będzie wodzom i dzielnej drużynie, co niewolę wytepi; chwała i ziemi, co ich zrodziła, i pieśni, co przepowiedziała ich przyjście.

Czy zrozumieliście myśl tego pięknego podania? Jak często nieraz niejedne usiłowania, prace, podobnie giną jak owa wieża w ziemi, ale przyjdzie czas, że i one wystrzelą. Co za piękna dla nas ztąd nauka, aby nie odstępować od raz powziętego zamiaru, choć się nie wiedzie. Bierzmy więc ztąd przykład i pracujmy ochoczo, a kiedyś praca nasza pomysłnym będzie uwieńczona skutkiem.

Przytaczamy tu niektóre wyjątki z pieśni: „O Wieży siedmiu wodzów.“

Noc przeminęła . . . O rannym brzasku
Wzdrgnęła się Wisła nagłego trzasku,

Od łomu dębów, huku toporów,
 Ode krzemiennych stukotu młotów;
 Drapieżne bestye, w tajnikach borów
 Śpiące struchlały od tych łoskotów.

Jak więc w mrowisku, gdy się robacy,
 Kwapiąc około wiosennej pracy,
 Rzeszą dokoła wysypią czarną,
 Takowym tutaj męże przykładem,
 Takim pośpiechem i zgodnym ładem,
 Ku przedsięwziętej pracy się garną.

Bite rąk krzepkich tęgimi razy,
 Kruszą się w sztuki olbrzymie głazy;
 Bryły, silnemi dłońmi porwane,
 Toczą się — wieńcem na piasku padną;
 Znów drugie głazy na nich się kładną;
 Aż zrosłe w krągłą dźwigną się ścianę.

I nie tak skoro parnym dniem w wiosnie,
 Po bujnym deszczu, siew nowy rośnie,
 Jako pośpiesznie ku górze zmierza
 Z szarych kamieni wiązana wieża.
 Od rannéj zorzy po mrok wieczora,
 Przeniosła wzrostem męża półtora.

Oto opis wierszem, jak wieża w górę wznosić się
 poczęła:

I w pośród zgiełku, wśród uniesienia
 Głośnych okrzyków, wśród pieśni pienia,
 Wśród dźwięku gęśli i grania trąb, —
 Wodzowie z miejsca ruszą się przodem,
 Drużyna długim w ślad korowodem.
 Szli, kędy Wisły największa głąb, —
 Kędy z pośrodku białego piasku,
 Przy smolnych ognisk czerwonym blasku,
 Szerokiem kołem zapadłej wieży
 Zrąb szarych głazów zębem się jeży.

I na sterczącej ze ziemi ścianie
 Siedmioro wodzów, wstąpiwszy, stanie.

Ze złocistemi hełmy na skroniach,
 Na hełmach wienice mając dębowe,
 U boków jasne miecze stalowe,
 Gęśli srebrzyste trzymając w dłoniach;
 Cali w śnieżystej ubrani bieli,
 Miesiąca blaskiem w pół osrebrzeni,
 Na poły ognisk łuną rumieni,
 Na zrębie głązów w półkrąg stanęli.

I wraz uderzą w gęśli srebrzyste,
 Z pełnej o stróny uderzą mocy;
 Dźwięki potężne i uroczyste
 Zabrzmią na wskrós milczenia nocy.
 I wraz zanucą gęślom we wtór,
 Pieśń uroczystą we zgodny zbór,
 Niepojętymi jakimiś słowy,
 Jakięś nieznaną, niezemską mowy.

Lecz znać ją znają siły tajemne,
 Znać ją pojęły potężne duchy
 Zarządzające państwo podziemne:
 Z głębi otchłani huk słycać głuchy,
 Jak odgłos gromów ciągnących z dala,
 I dziwnych głosów gwar pomieszany....
 Tajemną mocą wyparta fala
 Wiślana rośnie w groźne bałwany....
 Ziemia się chwieje, i drży i wzdyma,
 I w pośród grzmienia, wśród ziemi drżenia,
 Przed struchlałemi mężów oczyma,
 Z głębi otchłani na raz, widocznie,
 Olbrzymia wieża wznosić się pocznie.
 I po nad głowy zdziwionej łuszczy
 Ogromnym słupem w górę się dźwiga.

Śliczném jest także zakończenie, w którym mowa o zejściu wodzów i zbudzeniu się dzielnego wojska. Jednym słowem „Pieśń o Wieży siedmiu wodzów“, napisana przez Romana Zmorskiego, jest pod względem treści i języka prześliczna.

Kto rano wstaje, Temu Pan Bóg daje.

● Otóżto nasze pocziwe, staropolskie przysłowie, tak wybornie malujące prawdę, którą w sobie zawiera. W samej rzeczy Pan Bóg daje temu, kto wcześniej wstawa, bo oto przez ranne wstawanie zyskujemy na czasie, zdrowiu, przyjemności, a nawet majątku. Niechno kto co dzień wstaje godzinę rychniej, niż zwykle, to czyni rocznie 15 dni i 6 godzin. Narzekają ludzie na brak czasu, a niebaczni ileż go to prześpią. A jakto błogo modlić się, uczyć, pracować w porannej godzinie, gdy jeszcze nie dokuje gorąco. Lecz o tém wie każdy z nas, lecz nie każdy to czyni. Posłuchajmy tedy lepiej starodawnego podania, z kąd przysłowie owo powstać miało.

Dawnemi laty żyła w pewnej wiosce uboga, lecz pocziwa dziewczyna, imieniem Jadwiga. Wcześniej utraciła ona rodziców — była więc sierotą. O ciężko to zaiste być sierotą, nie mieć ojca ani matki, bo choćby byli najlepsi ludzie, to nigdy nie zastąpią kochanych rodziców. A przytem jak rzadko się znajdują tacy miłośni ludzie, którzyby pragnęli zastąpić biednym sierotom miejsce rodziców. Doznała też tego Jadwiga.

Po stracie ojca i matki nie pozostało jój nic innego jak pójść w służbę, co też uczyniła. Na bardzo atoli złych trafiła gospodarzy. Byli to niemiłośni, niegodziwi ludzie. Gospodarz oddawał się nieszczęsnemu nałogowi pijaństwa, a gospodyni była chciwą, nienasyconą, kłótniwą kobietą, której nikt

w niczem nie dogodził. Toż i biedna Jadwiga, mimo że się starała być jak najlepszą, posłuszną, pracowitą, miała bardzo wiele do wycierpienia od téj niegodziwej kobiety. Więc musiała robić od rana do wieczora bez wytchnienia, a choć pracowała szczerze, to nigdy nie zadowolniła swój gospodyni, która ją w zamian za wierną służbę lżyła, przeklinała, biła, jadła ujmowała, i jakie mogła czyniła jój przykrości. Nie nigdy nie mówiła łagodna Jadwiga, ale w cichości nieraz rzewne łzy wylewała, modląc się cicho w swój komórcie. „O matko, matko“, mawiała nieraz, „czy wiesz ile twa biedna córka cierpi?“

Lecz mimo tych wszystkich prześladowań, jakie ponosiła Jadwiga, nie zapominała nigdy o Bogu, lecz owszem tym goręcej modliła się do Ojca wszystkich ludzi, który i o najmniejszym nie zapomina robaczku. Więc zawsze rano i na wieczór mówiła Jadwiga pacierz z uwagą, a nieraz i przy pracy modliła się szczerze. I dobrze czyniła, bo Bóg tego nie opuści, kto w Nim położy swe zaufanie. Prócz tego nie czyniła nigdy Jadwiga, ani nawet nie myślała nic złego, nie klęła, nie obmawiała, nie szukała płochych znajomości z parobczakami, a mianowicie stroniła od karczmy, gdzie już tyle dziewcząt straciło niewinność. Nieraz gdy w karczmie brzmiała wesoła muzyka, to Jadwiga, jeżeli miała trochę wolnego czasu, szła na smętarz, gdzie wiła modląc się korony i wieńce z kwiatów, które składała na grobie rodziców.

I przeszło tak już lat kilka, a gospodyni raczej gorszą niż lepszą się stawała, tak że nakoniec Jadwidze i sił nie starczyło, aby dźwigać ten ciężki krzyż cierpienia. I wejrzał Bóg łaskawym okiem na biedną sierotę i pobłogosławił ją za cnotliwe, bogobojne życie.

Razu pewnego gospodyni owa tak biła i przesła-
dowała Jadwigę, że zdało się, jakoby rozum straciła. Nie dosyć na tém, jeszcze i snu zazdrościła Jadwidze; nazaczyła jęj bowiem robotę długo w wieczór, a nazajutrz zaraz po północy kazała jęj ogień nanieć. Skończywszy pracę ukłękła Jadwiga i modliła się gorąco do Boga, prosząc o zmiłowanie i wybawienie jęj z tego jarzma. I tak klęcząc usnęła. We śnie ukazała się jęj matka, która pocieszała Jadwigę zwiastując, że wkrótce skończą się cierpienia sieroty. Wdzięcznie i lekko zrobiło się na sercu Jadwidze, a wtém ocknęła.

Przelekła się niezmiernie obawiając się, ażali już nie zapóźno. Zmówiwszy wtędy pacierz wyszła do wsi po ogień, lecz ponieważ nie mogło być dalej, jak dwunasta godzina, więc w żadnej nie świeciło się chacie. Zatrwożyła się wielce Jadwiga, gdyż bez ognia wracać nie śmiała. Patrzy więc przestraszona naokół, wtém ujrzy na polu potężny ogień. Pobieęła tam. I widzi czarnych męzów, którzy łopatami w węęłach grzebali. Acz strach niemały na ten widok opanował Jadwigę, przecięż przewyciężyła się i zbliżywszy się do jednego z tych męzów pokornie o trochę ognia prosiła. Nie żwazano na jęj mowę, lecz kiedy powtórzyła swą prozbę, wtędy rzekł jeden z tych męzów, jakoby starszy: „Wsyp jęj tam łopatą węęgli.“ I nasypał jęj nieomal pełen garnek węęgli jeden z tych węęglarzy, przy którym stała sierota.

Uradowana Jadwiga podziękowawszy uprzejmie śpieszyła co rychlęj do domu, zwłaszcza, że węęgle gasnąc poczynały i coraz to więęcj ciężęły. Kiedy przyszła do izby, to już wszystkie pogasły. Wysypała je na kominek i poszła po węęgle, raz drugi, lecz

i te zgasły wkrótce, wtedy bieży raz trzeci. Do-
stała trzeci raz węgli żarzących, ale wtedy powie-
dziano jój, aby już więcej nie przychodziła i w dro-
dze aby się nie oglądała.

Kiedy raz trzeci z węglami wróciła, wtedy już
dzień biały zawitał na ziemię i przy świetle dopiero
dzienném spostrzegła Jadwiga, że owe węgle były
dukatami. Leżała kupa świecących dukatów na ko-
minie. Widząc to gospodarz i gospodyni rzucili się
pełni chciwości na owo złoto. Lecz jakaś niewi-
dzialna siła odepchnęła ich, tak że aż się na ziemię
potoczyli. I nikt nie śmiał krom Jadwigi dotknąć
się owych dukatów.

Tak tedy biedna Jadwiga przez modlitwę, pracę,
bogobojne życie i ranne wstawanie przysła do ma-
jątku, ale będąc bogatą żyła cnotliwie, jak dawniej.
Wspierała ubogich, a mianowicie brała w opiekę
sieroty, zakładała szkółki i szpitale. I długi czas
błogosławiono pamięć dobrej Jadwigi. I ztąd podo-
bno powstało owo przysłowie: „Kto rano wstaje,
temu Pan Bóg daje.“

Dziś się czasy zmieniły. Nie palą już czarni mężo-
wie złota po polach, ale jak za dawnych czasów,
tak i dziś modlitwą, pracą i ranném wstawaniem
można się stać szczęśliwym na duszy i ciele, użyte-
cznym ludziom i miłym Bogu. Wstawajmyż tedy
z jutrzrenką, ze wschodem słońca, jak nasi niegdy
przodkowie, którzy przekonawszy się o błogich sku-
tkach rannego wstawania, w szacie pięknego przy-
słowia na pożytek wnukom piękną tę prawdę zawarli.

Biedny Student.

Sto kilkadziesiąt lat temu odbywał się w Krakowie odpust N. Maryi Panny Anielskiej w klasztorze Reformatów. W izbie jadalnej po nabożeństwie zgromadziło się wiele gości na obiad. Po skończonym obiedzie przybyła i ubogich studentów drużyna, a każdy przy książce miał i garnuszek. Rozdawano pomiędzy nich jedzenie. Było albowiem chwalebny zwyczajem klasztorów owego czasu, że wspierały biedną, uczącą się młodzież. Przychodzili też zwykle ubodzy studenci z garnuszkiem do klasztoru, co nie był wstyd żaden, i otrzymywali częśćkę z obiadu.

Nie rzadko wykształcił się z tych studentów pożyteczny członek państwa, często sługa kościoła, czasem uczony, albo i co więcej. Nasi przodkowie zachęcali młodzież pilnie do nauki. Liczne zapisy dla krakowskiej wszechnicy (akademii), i znaczna liczba szkół, dają o tém dosyć świadectwa.

Pomiędzy kilkoma ubogimi studentami, którzy przyszli ze swemi garnuszkami do klasztoru Reformatów, ściągnął szczególnie oczy wszystkich ku sobie jeden student, a to mianowicie przez swoje ochędożne ubranie, przyzwoite zachowanie i nader ujmującą postać. Między licznymi gośćmi w refektarzu był i starosta Łętowski. Spodobała mu się szykowność chłopca, a gdy ten zlewa do garnuszka, wtedy zapytał przeora o jego sprawowaniu się i postępkach w nauce. Otrzymał od przełożonego klasztoru najchwalebniejsze świadectwo. Więc zadał mu kilka pytań z różnych naukowych przedmiotów; a gdy młodzieniec na nie śmiało i trafnie ku wielkiemu zadowoleniu wszystkich przytomnych odpowiedział, rzekł

mu starosta: „Jaki stan chcesz sobie obrać mój kochany?”

„Stan duchowny“, odparł młodzieniec, acz zmieszany nieco przytomnością tylu znakomitych panów. „Chciałbym z całego serca być w stanie kiedyś podobne świadczyć dobrodziejstwa innym, jakich teraz doznaję od wielebnych ojców duchownych.“

Wszystkim spodobała się tak trafna odpowiedź. Starosta pogłaskał go po twarzy i rzekł: „Ucz się dobrze mój chłopcze, i zostań księdzem; obierz ten szanowny stan, który nauce sprzyja i cierpiącej ludzkości jest podporą“; a potem dobył z kalety dukata i dał, mówiąc z uśmiechem: „Weź to dla ułatwienia twego przedsięwzięcia, a pomnij chłopcze jak będziesz biskupem krakowskim, iżbyś mi puścił dobra radłowskie.“ To mówiąc uśmiechnął się jeszcze raz przyjaźnie do młodzieńca, który z napełnionym strawą garnuszkiem, wesół z otrzymanego podarku, oddalił się z łąką wdzięczności w oku.

Już ze trzydzieści lat z górą upłynęło od owego zdarzenia; niejednen ciężki wypadek się przetoczył, a głowa sędziwego starosty Łętowskiego posiwała do reszty. Dzieje tych zawichrzonych czasów i na nim wywarły swój wpływ niszczący. W tych burzach utracił swoje mienie i tylko z małym ostatkiem wprzódy dość znacznego majątku, syt lat i publicznego życia zamieszkał w Krakowie.

Wówczas miasto Kraków obchodziło wielką uroczystość; nowo wyniesiony biskup miał odbywać swój wjazd uroczysty. Był to Konstanty Felicyan Szaniawski z przydomkiem Junosza, ulubieniec rządzącego króla Augusta II, teraz r. 1720 po Kazimierzu Łubieńskim wyniesiony na stolicę biskupstwa krakowskiego.

Jako przyszły ksiązę siewierski, jako jeden z pierwszych biskupów Polski i posiadacz wielu tysięcy rocznego dochodu, odbywał biskup krakowski swój wjazd z przepychem, odpowiednim swojej wysokości, kościelnej godności. Wojsko królewskie wystąpiło z okazałością na rynek miejski. Cechy ze swojemi chorągwiami i młodź szkolna oczekiwały w uroczystej ciszy swojego naczelnego pasterza; poetyczne pochwały, godła według owczesnego zwyczaju z imieniem i herbem i rozmaitemi ozdobami, kobierce, wieńce z kwiatów i bramy tryumfalne, zdobiły ulice, przez które płynął nieprzejrzany pochód, a jemu towarzyszył tłum ludu. Wielu senatorów i magnatów ze sąsiedztwa, a nawet z oddalonych okolic, przydawali przepychu tej uroczystości, po której zamknięciu wszystko zaproszonym zostało do wspaniałej uczty.

Nie zapomniano przytem i o sędziwym staroście Łętowskim. Siedział sobie szlachcic tego rana pod domkiem niebogatym gdzieś za Karmelitami, a tu przychodzi w świecąą liberyję przybrany hajduk i spyta: „Czy tu starosta Łętowski?“ „Tak jest“, odpowiedział szlachcic. „Macie iść do biskupa na obiad“, rzecze hajduk. Zdziwił się niemało Łętowski temi zaprosinami od biskupa, tej znakomitości duchownej, której nigdy nie znał i z którą nigdy w swém życiu nie stał w związku, podczas gdy jego dawniejsi przyjaciele zupełnie zapomnieli o nim od dawna — od czasu utraty dóbr jego! Ubrał się tedy Łętowski w co miał najlepszego i szedł do pałacu biskupiego.

Za wejściem swoim do pałacu zastał tam starosta najznakomitszych ludzi owego czasu. W pośród tak wielu jaśnie wielmożnych panów zaledwo mógł się spodziewać starosta, ażeby nań zważano; a przecież był uważanym szczególnie przez biskupa samego.

Ten bowiem przywitał go z wyszczególnieniem, nawet przyjaźnie, a gdy zadziwiony tém starosta chciał mu oświadczyć swą podziękę za doznane przyjęcie, biskup go uprzedził podziękowaniem za to, że przyjął jego przyjacielskie zaprosiny, i tę ucztę swoją zaszczycił bytnością.

Jeszcze się dziwili przytomni goście i szeptali o uprzedzającej grzeczności biskupa dla podupadłego starosty, gdy dźwięk głośny trąb zapowiedział rozpoczęcie się biesiady. Pomiedzy osobami, którzy według swego stopnia zasiedli przy stole, nasz starosta nieostatnie zajął miejsce. Po zwykłych wiwatach na pomyślność króla, prymasa i przytomnych gości, i po owém ulubioném zdrowiu: „Kochajmy się!“ powstał biskup, a przypijając do starosty zawołał: „Panie starosto, niech żyje nasza stara przyjaźń!“

Wszyscy się zdziwili i myśleli, że biskup żart sobie stroił z biednego starosty. Jego samego zadziwiło owe przypicie biskupa, który mu dotychczas całkiem był nieznanym, podziękował mu więc za tę łaskawość i rzekł: „O Panie! za łaskawym jesteś z twym sługą, przecież nie mogę się szcycić, być choćby znanym tylko waszój przewielebnej, biskupiej mości, a tém mniej ażebym sobie kiedykolwiek na tę łaskę zasłużył.“

„A przecież rzecz tak się ma, dawny przyjacielu“, odparł biskup, „nasza znajomość liczy się z resztą nie od wczoraj! Prawda, że od naszego ostatniego spotkania się, wiele lat i zdarzeń obok nas przeszło.“

„Doprawdy nie przypominam sobie...“

„Ja jednakże nie zapomnę nigdy naszego poznania się! Czy pamiętacie jeszcze panie starosto święto Najświętszej Maryi Panny Anielskiej u tutejszych Re-

formatów przed jakimi trzydziestu laty, i tego ubo-
giego studenta, któremu daliście dukata? Tym bie-
dnym studentem ja jestem. Wasz dukat nie dostał
się w ręce niegodne, a wasze ojcowskie namięnienie
padło do duszy przystępnej. Wziąłem je sobie do
serca, uczyłem się stósować do okoliczności, i tak
za pomocą Bożą stałem się tym, którym mię przed
sobą widzicie! Nie wstydzę się wyznania, że niegdys
w garnuszku brałem mój obiad ze stołu Reformatów,
ale owszem całym sercem chwale ten zwyczaj za-
prowadzony przez naszych przodków.“

To mówiąc skinął biskup na marszałka, a ten
podniósł potężną, srebrną wagę ze środka stołu, i
wyjął z niej garnuszek biednego studenta, w srebro
na pamiątkę oprawiony. Podczas gdy sala głośno
wivat (niech żyje!) odbrzmiewała, głuszący nawet
trąb odgłosy, ciągnął biskup dalej: „Tedy panie sta-
rosto, z tym garnuszkiem widzieliście mnie u Re-
formatów, nie wstydzę się tego bynajmniej, lecz
owszem miłą mi to zawsze zostanie pamiątką. Chciał-
bym jednak wiedzieć, czy i wy pomni jeszcze jeste-
ście tych słów, które do mnie powiedzieliście, dając
mi ten dukat?“

„Te wasze słowa zostały na zawsze wyryte w mém
sercu, i jako gwiazda przewodnia wędrowca prowa-
dziły mię na całej dotychczasowej mojej ścieżce ży-
wota. Rzekliście wtedy, bym się dobrze uczył i zo-
stał księdzem; a jak zostanę biskupem krakowskim,
żebym wam klucz radłowski wypuścił w dzierzawę.
No i otóż jestem biskupem krakowskim, i teraz chcę
wypełnić wasze życzenie. Tak panie bracie! jam to
ten Szaniawski z garnuszkiem, któremu daliście du-
kata u Reformatów, w dzień Najświętszej Maryi Panny
Anielskiej, z ubożego ucznia dziś biskupem: wypu-

szczam waści klucz radłowski, boś położył był to za warunek. Oto jest kontrakt sześćioletniej dzierżawy, którą zechcesz ode mnie przyjąć bez żadnej wypłaty, jako dowód mojej niewygasłej wdzięczności.“

Z temi słowy wręczył zdziwionemu staroście kontrakt dzierżawy, według wszelkich form prawnych sporządzony, spoczywający w wazie pod garnuszkiem.

Staroście snem to się wydało, zaledwie mógł sobie przypomnieć owe zdarzenie z biednym studentem, i cała rzecz migotała mu się tylko jako zaledwie widzialny punkt na dalekim widnokręgu. Tylko zwolna mógł przywołać sobie do pamięci wstrząśnioną burzliwemi czasy, przypomnienie zdarzenia tego. Rozplakał się starzec i chciał upaść do nóg biskupa, który mu atoli tego nie dozwolił. Wszyscy obecni spojrzeli po sobie, gdyż to był dzień piękny dla Szaniawskiego, a nauka niejednemu.

Zwalczonego uczuciami wdzięczności starostę tylko powtórzone naleganie biskupa mogło zniewolić do przyjęcia tego daru, pośród głośniego podziwu wszystkich przytomnych, jako dowód rzadkiej wdzięczności i dobroci serca biskupa Szaniawskiego.

Kończąc opowiadanie tego prawdziwego zdarzenia, żyjącego jeszcze po dziś dzień w podaniach okolicy Krakowa; dodajemy jeszcze kilka słów o niezmordowanej czynności i ludzkości biskupa Szaniawskiego. Był on wielkim gospodarzem. Dobrym rządem zebrał znaczne skarby, których atoli tylko na dobre używał cele. Hojnym był na kościoły, na co wydał do dwóch milionów złotych. Założył seminarjum dla księży, był dobroczyńcą stariej krakowskiej akademii, a pomny swojego dawniejszego biednego losu studenckiego, założył konwikt dla ubogich studentów w Łukowie. Zamek krakowski po

spaleniu go przez Szwedów dźwignął, ozdobił i przywiódł do porządku.

Umarł r. 1732. powszechnie żalowany, szczególnie od młodzieży i ubogich, którym był prawdziwym ojcem. Leży pochowany w Krakowie i ma nagrobek w kaplicy Konarskiego.

Gdyby kto z was, drodzy czytelnicy, doznał podobnego losu, niech podobnie pamięta o swoich dobroczyńcach i przyjaciółach.

Bóg się tym brzydzi, Kto ojca się wstydzi.

Posłuchajcie rodzice i dzieci straszego zdarzenia, które oby wam było nauką, przykładem i przestroga. — W pięknej, wśród żyznej okolicy położonej wiosce, żył dawnemi czasy poczciwy kміeć Stanisław z żoną Barbarą. Powodziło im się szczęśliwie; ich pola obfite wydawały plony, drzewa w sadzie co jesień uginały się pod ciężarem owoców; koni, bydła i owiec był dostatek; zaś piękna pasieka dostarczała słodkiego miodu i niemałe przynosiła dochody — słowem, dobrze się wiodło Stanisławowi i Barbarze.

Mieli syna jedynaka, któremu Michał było na imię. Stanisław był to kміeć roztropny, rządny, bogobojny, to téż mieszkańcy całego siola szanowali go i czcili, nawet sam ksiądz pleban wysoko go poważał, a często i dziezie jego mądrej zasięgał rady. Bywał tedy czasem we dworze nasz kміeć Stanisław i tam przysłuchując się uczonym rozmo-

wom, westchnął nieraz, że to on nie z tego nie rozumie, bo czytać nie umiał i tylko na paciorkach się modlił. Dawnemi bowiem czasy rzadkie były szkółki, więc też mało kto z ludu wiejskiego czytać i pisać umiał.

Postanowił tedy Stanisław, choć syna oddać do szkół, aby go wykierować na człowieka. Pomówił o tém z żoną, jakby to dobrze było, gdyby ich Michałek mógł się w szkołach uczyć, a kto wie może z czasem i księdzem by został.

„Ach księdzem“, powtórzyła pobożna Barbara, „coby to było za szczęście, gdyby nasz Michałek mógł być księdzem.“ Tak tedy po wspólnej naradzie postanowili oddać syna do szkół, pełni tej słodkiej nadziei, że wkrótce ujrzą syna księdzem, nie pomnąc, że i w kmiecym stanie jest szczęście, i że nauka przy złém sercu zgubną być może człowiekowi.

Oddano tedy Michałka do szkół; lecz chłopiec ten, jako jedynak, nie odebrawszy starannego w domu wychowania, a w szkołach nie dostawszy się w najlepsze ręce, nie na osobliwą rósł pociechę rodzicom. A tymczasem szkoły bardzo wiele kosztowały, rozszedł się grosz gotowy, a w końcu i dobytek i stodoła nie starczyły na utrzymanie syna. Bieda tedy zaczęła w domu Stanisława panować; coraz to gorzej się wiodło, zwłaszcza, że Stanisław podeszły już w leciech, niewiele mógł pracować. A syn tymczasem zamiast odwdziżyć się rodzicom za krwawą pracę, smutek tylko i boleść im sprawiał, bo acz niezłe czynił postępy w naukach, to też przytém wzrastał w dumę i zarozumiałość; wstydził się rodziców, że byli wieśniakami. Starał się zatrzeć w mieście ślad swego pochodzenia, udawał szlachcica, jak gdyby chłopiek poczciwy, który na nas wszystkich pracuje, czém gorszym był od szlachcica.

Więc tedy wstydził się Michał pocziwych rodziców, przestał z czasem bywać w skromnej, rodzicielskiej chacie, wymawiając się, że nie ma czasu z powodu pracy w naukach. A w rodzicielskiej zagrodzie było tymczasem coraz smutniej. Stanisław ostatek sił dobywał, a pracował tak usilnie, że nieraz pot kroplisty z pomarszczonego czoła spływał na łan, który orał. Ziemia też nie rodziła już tak obficie jak dawniej, tylko kąkole, głogi, chwasty bujnie porastały, gdyż nie miał kto starannie roli uprawić. A tu ni cienia pociechy, bo z miasta tylko smutne o synu wyrodku dochodziły wieści, że nie święte kapłaństwo, ale szlachectwo, bogactwo, duma i światowość mu w głowie; że czepia się tylko szlachty i panów, i sam także udaje szlachcica. O jakże nieraz płakała nieszczęśliwa matka, a jak nieraz Stanisław na polu przy pługu załamał dłonie i westchnął ku niebu ze żalu nad synem i nad biedną swoją dolą, a lzy mu jak groch po licach spływały. Nieszczęśliwy ojciec, nieszczęśliwa matka!

W końcu pracą znużony i stroskany zasnął razu pewnego w polu Stanisław na wieki, a nie było nikogo, coby mu zamknął gasnące oczy. Została biedna matka, sama, jedna, opuszczona. Wspomniała na syna, prosiła go tedy pismem, które jej kapłan napisał, by wrócił do rodzinnej zagrody i objął ojczystą puściznę. Ale nie skutkowały proste słowa na dumnym umyśle syna, wzgardził prozbą matki i nie odstąpił dumnych marzeń; gdyż sądził, że już był blizkim osiągnięcia celu, aby się stać wielkim panem. Bawił na dworze możnego pana, tam powziął nadzieję, że pojmie córkę jedynaczkę tego bogatego dziedzica za żonę, a tak będzie wielkim panem i mieszkać będzie w złocistych pokojach.

Czyniło mu prawda czasem sumienie wyrzuty, ale zagłuszał je na czas pewien wrzawą światową. Matka zmuszoną była opuścić rodzinną zagrodę i udać się do dalekich krewnych, aby jej na stare lata użyczyli schronienia. Lecz krewni już byli wymarli. Cóż w takim razie pozostało uczynić niebodze? Oto musiała wyciągnąć rękę i prosić o jałmużnę, gdy syn jej tymczasem gościł po salonach i grzeczności sypał wielkim panom, sądząc, że sobie uskarbi ich łaskę pochlebstwem. W końcu matka widząc niksące siły wróciła do rodzinnej zagrody, gdzie wkrótce ducha wyzionęła.

Michał coraz gorzej był widziany na pańskich pokojach, gdyż doszły wieści o jego pochodzeniu i jak niegodnie sobie postąpił z rodzicami. Zmiarkował też niedługo majątny dziedzic, ojciec córki jedynaczki, w którego domu najwięcej Michał gościł, co się święci, dostrzegłszy, że Michał zachodzi około jego córki. Wyprosił go tedy grzecznie z swego domu, dodając, że nawet choćby mu był równym co do majątku i urodzenia, to nigdy jednak nie oddałby mu ręki swjej córki, skoro się tak źle obszedł z własnymi rodzicami — z czego wnioskować można, że podobnie postąpiłby sobie z rodzicami żony.

Zamknięto wszędy podwoje przed Michałem, i tak nagle ów młodzik marzący o zaszczytach ujrzał się straconym nader nisko. Cóż począć teraz? A sumienie groźne mu czyniło wyrzuty o ojca, któremu grób przedwczesny zgotował; o matkę, która nie wiedzieć gdzie się w świecie obraca i z głodu może umiera.

Zadrsał Michał na wspomnienie tego wszystkiego i westchnął do Boga, błagając miłosierdzia, aby się mógł jeszcze poprawić. Lecz niestety! za późno czę-

sto następuje poprawa, tak było i z Michałem. Z bijącym sercem udał się do rodzinnej wioski. Wieczór był, kiedy wchodził do siola, gdzie się urodził. Już zdążył dochodzić go głos dzwonów, a one jęczały tak smutnie, że aż jego dusza drżała. Śpieszył co siły, a przyszedłszy przed kościół, zapytał kościelnego dziada, komu by dzwoniło? Dziad kościelny jął rozpowiadać Michałowi, którego nie znał, o nieszczęśliwym ojcu i matce, którzy mieli niedobrego syna, a Michał z przestachem usłyszał własne dzieje, a słyszał między innymi te słowa: „Bóg się tym brzydzi, kto ojca się wstydzi“, a dziad zapytał jeszcze: „Czy nieprawda mój panie?“

Nie mógł powstrzymać łez Michał, a kiedy dziad dodał, że właśnie wczoraj owa nieszczęśliwa matka skonała, a teraz jej dzwoniło, tedy padł ów nieszczęśliwy młodzieniec na ziemię, tarzał się w prochu i płakał i jękami napełniał powietrze.

„Ach ja to zabiłem matkę moją, ojca mego i sobie samemu na wieki nieszczęście zgotowałem, o biada mi biada! A właśnie teraz przyszedłem, by cię droga matko pielęgnować.“

Okropny był stan nieszczęśliwego Michała, a dziad kościelny z cicha wyrzekł na stronie: „Zapóźnie mój panie!“

* * *

Co się dalej stało z Michałem, niepewne o tém krążą wieści. Podobno wstąpił do klasztoru i tam w ustawicznej żył pokucie, ale pokoju znaleźć nie mógł, znalazł go chyba w zimnej mogile.

Tak to kochani czytelnicy, szczególnież wy młodzi, karze Pan Bóg ciężko takie dzieci, które rodziców się wstydzą, ich nie szanują i nie kochają. A iluż to sobie podobnie, jak ów Michał postępuje?

Oj dzieci kochane strasznemi nauczone przykładami
nigdy przynigdy nie zapominajcie o rodzicach, lecz
kochajcie ich, szanujcie, bądźcie im pociechą, pod-
porą w starości, a Bóg wam będzie błogosławił w tém
i w tamtém życiu.

G r u s z a .

Wiersz przez St. Jachowicza.

Dziateczki! dziateczki — rzekł siwy staruszek,
Nadstawcie czapeczek, nasypię wam gruszek.
Aż miło się patrzeć, śliczna to drzewina!
Ona mi młodości chwile przypomina.
Wiecie zkąd się wzięła? powiem wam, dziateczki,
Słuchajcie!... nieprawdaż, smakują gruszczeni?
Tu gdzie domek stoi, a przy nim to drzewo,
Było pusto, dziko: na prawo, na lewo.
Mój Boże! — mówiłem do mego sąsiada —
Niejeden bogate zagrody posiada;
Ja wiele nie pragnę, a nie mam i tego:
Ot ze sto talarów majątku całego,
I dosyćby było. A sąsiad powiedział:
Mógłbyś mieć i więcej, gdybyś o tém wiedział,
Że tutaj, gdzie stoisz, są w ziemi talary:
Pamiętam, Bartłomiej powiadał nam stary.
Pomyślałem sobie: niezleby to było!
W nocy, gdy się wszystko na wsi uciszyło,
Przychodzę z motyką: kopię, co mam siły;
Ale się talarki na wierzch nie dobyły.
Idę do sąsiada. Drwillście sąsiedzie!
Że wam Bóg pomaga, dobrze wam się wiedzie,
To sobie już żarty z ubogich stroicie;
Jak się też, sąsiedzie, Boga nie boicie?
Niedziw, rzecze sąsiad, gdy zarzut zrozumiał,
Żeś tam nic nie znalazł, boś szukać nie umiał
Więc jeszcze starego słuchaj, mój kochany!
Daruję ci płonkę, wsadź w dół wykopany;
A po kilku latach będą i talary:
Bo nas tak nauczał ów Bartłomiej stary.

Słuchałem, wsadziłem; dziś, z łaski sąsiada,
 Wasz dziadek i chatkę i gruszę posiada.
 Wszak były talary, nieprawdaż dziateczki?
 I jeszcze dla wnuków mam smaczne gruszcзки.
 Niech każdy w swém sercu tę prawdę zachowa:
 Najlepsze bogactwo: praca, rada zdrowa.

Dударz Szwanda.

Tłumaczenie z czeskiego.

Trzeba wam wiedzieć, kochane dziatki, że narody słowiańskie (to jest Polacy, Czesi, Serbowie, Rusini i t. d.) lubią bardzo śpiew i muzykę, a pomiędzy niemi najwięcej kształcą się w muzyce Czesi, pobratymcy nasi. Wielu sławnych muzyków urodziło się w tym kraju; jedni z nich od młodości poczuwszy w sobie zdolność wielką do muzyki, uczyli się jój pilnie w szkołach muzycznych, i dochodzili wielkiej doskonałości; inni zaś bez żadnej nauki po szkołach od urodzenia swego, sami, z prostego natchnienia, uczyli się wygrywać na skrzypcach, basach, albo na dudach, jak to i u nas bywa, i często sławni byli między wieśniakami swojej okolicy, którym grywali w karczmach, na weselach, na chrzcinach, a często nawet i na odpustach. Takim też był czeski dударz Szwanda, który będzie temu lat dwieście kilkadziesiąt, jak umarł.

Dudy jest to starożytne narzędzie muzyczne do grania, mianowicie u Słowian używane. Były dawniej dudy powszechnie w Polsce znanemi, dziś już tylko tu i owdzie na dudach grają, a mianowicie znane są jeszcze dudy w niektórych okolicach Wielkopolski. Człowiek, umiejący grać na dudach, zwie się dударzem.

Szwanda był to człowiek wesoly, a ztąd wszędzie między chłopami lubiony; każdy chciał z nim wejść w przyjaźń, i dla tego prosili go często w kumy, a ponieważ wiele dzieci trzymał do chrztu, nazywali go powszechnie kumem lub kumotrem. Grał Szwanda cudownie na dudach, z których takie wydobywał głosy, że słuchający wpadali w zachwycenie. Gdzie się więc tylko pokazał, wszędzie zaraz radosna wieść rozchodziła się między ludem, że przybył Szwanda: wszyscy radzi go witali, jako milego i pożądanego gościa. Gdzie więc był Szwanda, tam było wesoło, albowiem skoro tylko zaczął grać na dudach, zaraz chłopcom i dziewczętom drgały żyłki w nogach, a gdy się rozegrał, dopiero to poczęło się zamięszanie, jakby jaka zawierucha: młodzi i starzy, mali i wielcy toczyli się w koło, jak szaleni. Niektórzy mówili do siebie po cichu, że w dudach Szwandy muszą być jakie czary.

Szwanda był bardzo wesoly i zwykle jak każdy prawdziwy grajek zawsze spragniony, a przytem bardzo lubił grywać w karty, w tak zwanego straszaka. Zabawiwszy słuchaczy swoich do sytości, chciał i sam siebie rozweselić, a gdy kogo do kart złapał, póty z nim grał, póki wszystkiego, co zarobił, nie przegrał. Często odchodził z prózną kieszenią, ale to go od kart nie wstrzymywało. Prócz grą na dudach, rozweselał towarzystwo żartami i dowcipem, a tak był żartobliwy i dowcipny, że nikt nie wyszedł z gospody, póki w niej był Szwanda. Dotąd w Czechach o wesoleń towarzystwie mówią: to prawdziwa Szwanda.

Zdarzyło się jednego czasu, że Szwanda podczas odpustu w Mokrzeńcach nagrawszy się na dudach od południa do północy i zarobiwszy sobie

dużo grosza, złożył dudy na lawę, nie chciał dłużej grać, chociaż na niego nalegała młodzież i starzy, i dobrą mu zapłatę obiecywała. Ale kumowi Szwandzie markotno już było służyć cudzej tylko wesołości, chciał też i sam sobie sprawić uciechę. Siadł tedy między sąsiadami i zaczął pić, a dowcipnemi żartami pobudzał towarzystwo do serdecznego śmiechu. Nareszcie zachciało mu się kart, i zapraszał sąsiadów do straszaka, ale nikt nie miał ochoty do gry. Szwanda miał zwyczaj póty bawić w gospodzie, póki były w kieszeni grosze, a dziś zarobiwszy sobie dużo pieniędzy, miał jeszcze większą ochotę do kart. Widząc jednakże, że sąsiedzi statecznie mu odmawiają, rozgniewał się i zapłaciwszy, co był winien, wyszedł z gospody.

„W Drażycach“, mówił sam do siebie idąc krokiem niebardzo pewnym, „tam jest odpust i organista z włóдарzem; ci mi będą radzi i nie pogardzą straszakiem. Oj tak, w Drażycach zatrzymam się, ha, ha!“

Noc była jasna, księżyc świecił jak rybie oko. Przybył Szwanda na rozstajne drogi, a podniósłszy oczy zdumiał się i zatrzymał. Stado kań i kruków kracząc wleciało w powietrze, a grajek spostrzegł szubienicę, na której wisiało kilka na wpół zbutwiałych ciał ludzkich. W owych czasach wystawiono wiele po polach i po drogach szubienic na przestrach licznym zgrajom lotrowskim.

Wtém nawinął się Szwandzie, niewiadomo z kąd, jakiś pan nie wielkiego wzrostu, z bladą twarzą, cały od stóp do głowy ubrany czarno. Przystąpiwszy do Szwandy, ochrzypłym tak przemówił głosem: „Gdzie tak późno idziecie przyjacielu dudarzu?“

„Idę do Drażyc na zabawę, czarny panku!“ odrzekł śmiały Szwanda.

„A czybyś nie chciał sobie co wydudać?“ czarny pan go zapytał.

„Dosyć już dziś mam tego dudania; zarobiłem sobie pełną kieszeń groszy; teraz chcę téż sam się poweselić.“

„Co tam grosze“ — odparł nieznajomy — „my tobie sypniemy złotem“, i wyjąwszy garść błyszczących czerwieńców, mignął niemi przed oczyma dudarza.

Szwanda był jakby w zachwyceniu; straszak go ciągnął do Drażyc, ale błyszczące złoto silniejszą było dla niego ponętą. Czarny panek to spostrzegł, ujął go za rękę, a grajek szedł za nim, jak omamiony.

Dudarzowi kręciło się w głowie, jak na młynie, nie wiedział gdzie, którędy i dokąd prowadził go czarny panek; to tylko pamiętał, że go napominał, aby ile razy mu kto da pieniądze lub szklanekę z jakim napojem, nie dziękował innemi słowami, tylko: „zdarz bracie.“

Wtém naraz stanęli w pokoju rześisto oświetonym; przy stole siedziało trzech panów, ubranych podobnie, jak jego przewodnik, mieli przed sobą wielkie kupy złota i grali w straszaka, a wciąż na siebie oczyma łypali. Raz po raz podawali sobie z kolei wielką konewkę z winem, z której tęgo popijali.

„Hej jak się macie bracia!“ zawołał przewodnik dudarza wszedłszy we drzwi, „przyprawiam was kuma Szwandę, sławnego na cały kraj dudarza, a któregośmy od dawna byli ciekawi słyszeć. Spodziewam się, że przyprawiając go tutaj, zrobiłem wam wielką przyjemność; wszakże dziś chcemy pohulać, a do tego potrzebna muzyka.“

„Dobrześ zrobił“, zawołał jeden z czarnych gra-

czów, a obróciwszy się do Szwandy, rzekł: „Siądź dudarzu i napij się“, podając mu konewkę z winem.

Szwanda wziął konewkę i napił się, a postawiwszy ją na stole, zdjął czapkę i rzekł: „zdarz bracie!“

„A teraz graj!“ zawołał inny z graczków. Szwanda siadłszy opodal na ławie, dał w mieszki i wygrywał. Tymczasem przyszedł inny czarny i przysiadł się do grających, wyjął z kieszeni mocno nabity mieszek, i wysypał przed siebie na stół kupę dukatów.

Zahuczały dudy Szwandy, i było się aż czemu dziwić, taki wpływ wywierała ta gędzba na czarnych panków. Zdawało się, że się w nich życie podwoiło; wpadli w huczną wesołość, zapalczywiej zaczęli stawiać pieniądze na karty, czerwienice latały, gracze wykrzykiwali radośnie, na stołkach podskakiwali, całe ich ciało rozigrało się, tak że zdawało się, jakoby każda żyłka w nich podrygała. Konewka z winem coraz częściej krążyła, a Szwanda kolejki nie opuszczał. Ale co w tém było najdziwniejszego, to to, że konewka nigdy się nie wypróżniała, a nikt jój nie nalewał.

Ile razy Szwanda skończył granie, huczna zabrzmiała dlań pochwała, a do czapki jego padały czerwienice, jak deszcz; dudarz za każdą razą dziękował: „zdarz bracie!“

Trwało to przez wiele godzin, aż nakoniec Szwanda zaczął grać skoczego, który tym czarnym panom tak w nogi wjechał, że rzuciwszy straszaka, porwali się razem i w dzikich skokach gonili po izbie.

Szwanda dograł, dudy z kwikiem zapiszczały, a tanecznicy zrobili jeszcze kilka susów. Poczem jeden z nich przysunął się do stołu; wzięwszy czapkę dudarza, co tylko złota było na stole, wszystko do niej zgarnął i podał dudarzowi mówiąc: „Ot masz

wszystko za to, żeś nas tak dobrze rozweselił.“ Szwanda zaledwie wierzył swoim oczom, a oślepiiony widokiem takiego bogactwa, nie wiedział, co począć z radości. W tém zamięszaniu zapomniał o tém, jak miał dziękować, zawołał tedy w uniesieniu: „Bóg wam zapłaci tysiąckrotnie!“ Jeszcze tych słów nie domówił, a już wzrok jego pokrył się mgłą, i wszystko: pokój, karty, panowie, z przed oczu mu znikli.

Nazajutrz rano chłop z pobliskiej wioski wywoził mierzwę na role, a zbliżywszy się ku rozstajnym drogom, gdzie stała szubienica, posłyszał zdala jakieś dźwięki; przysłuchuje się tym głosom, i im bliżej podchodzi, tym pewniej poznaje, że to dmie ktoś w dudy; nadstawia ucha i poznaje znaną piosenkę.

„Wszakże to Szwanda!“ mówi sam do siebie.

Przybiega pod samą szubienicę; słyszy, że dźwięki idą z góry, podnosi oczy i z zadziwieniem widzi, że Szwanda siedzi w rogu na szubienicy i zapamiętałe dmucha w dudy, a ranny wietrzyk buja pod nim czterema wisielcami.

„Ależ do kata kumie Szwando!“ zawołał wieśniak, „z kądżeście się tu wzięli?“

Szwanda wzdrygnął się, puścił dudy, przeciera sobie oczy i oglądając się naokoło, wreszcie poznaje z przestraczem, gdzie się znajduje.

Znajomy kmotr pomaga mu zejść z szubienicy, a Szwanda przyszedłszy do siebie, opowiada chłopu swoją przygodę.

Przypomniawszy sobie czerwienice, zagląda do czapki, przewraca kieszeń, a tu widzi, że nie ma w niej ani jednego grosza.

Chłop się żegna i mówi: „Toć to was Pan Bóg skarzał, nasłał na was złych duchów za to, żeście się tak namiętnie uganiali za kartami.“

„Prawdę macie, przyjacielu“, mówił Szwanda, cały jeszcze trzęsąc się ze strachu, „od dziś dnia wyrzekam się kart na zawsze.“

I dotrzymał dudarz słowa, a na podziękowanie, że bez uszkodzenia wybrnął z tak wielkiego niebezpieczeństwa, wrócił do swojej rodzinnej wioski Strakoniec, i zawiesił w kościele dudy na ścianie. Dudy te wiszą na pamiątkę aż do dnia dzisiejszego. Powiadają, że corocznie w ten sam dzień, kiedy Szwanda na szubienicy grał złym duchom, same przez się huczą.

Strzeżcie się kochani czytelnicy gry w karty, aby wam tak nie poszło jak dudarzowi Szwandzie; choć nie tak, abyscie się dostali w moc złych duchów, ale w ogóle aby was nieszczęście nie spotkało. Gra w karty, a mianowicie o pieniądze, jest nagany godną, a dawne przysłowie polskie mówi:

„Kto graje w karty,
Ten ma łeb obdarty.“

Polska gościnność.

Dawnych Słowian cechowała obok wielu innych pięknych przymiotów także cnota gościnności, do najwyższego posuniona stopnia. Gość każdemu Słowianinowi był świętą osobą, i ztąd zapewne powstało przysłowie: „Gość w dom — Bóg w dom.“ Choć prawda i inne narody odznaczały się gościnnością, to jednak cnota ta najbardziej kwitnęła w Słowiańszczyźnie. Nie ma podobno przykładu, aby który Słowianin co złego wyrządził swym gościom. Wprawdzie i Niemcom przypisują gościnność, lecz nieraz

oni jój nadużyli, jak ów luzacki margrabia Gero, który zaprosiwszy trzydziestu słowiańskich wodzów na ucztę, okrutnie ich zamordować kazał.

W dawniej Polsce, nieodrodnej córce Słowiańszczyzny, panowała także wielka gościnność, jak tego wymownie dowodzi nasze przysłowie: „Staropolska to jest cnota — przed nikim a nikim nie zawierac wrota.“

Powiedziano téż o Polakach, że im Bóg dał wiele chleba i soli, aby mieli czém przyjmować gości. I w rzeczy samej urodzajne niwy Polski dostarczały do sytu chleba, którym się dalekie żywią narody, a Wieliczka dostarczała obficie soli, aby było czém ten chleb posypać. Chlebem téż i solą witano w dawniej Polsce gościa. Panował téż dawniej piękny w Polsce zwyczaj, że tak w chatach, jak i w pałacach, był zawsze stół przykryty obrusem, na którym znajdował się chleb i sól, flaszka z miodem lub dzban piwa, aby było czém gościa w progu powitać. Nawet dawniej podczas obiadu zostawiano jedno próżne miejsce u stołu dla tak zwanych „zagórskich panów“, t. j. dla gości, którzy byli jeszcze za górą. Ślicznie opisał Wincenty Pol polską gościnność, gdy tak o niej śpiewa w „Pieśni o ziemi naszej“:

Wielkie domy za granicą,
 A w nich ciasno, choć nieludno,
 U nas mury się nie świecą,
 A o kącik nie tak trudno.
 Ledwo człekby czasem wierzył,
 Dom niewielki, wtém gość wchodzi:
 Ot i domek się rozszerzył,
 I wnet miejsce gdzieś się rodzi.
 Przybył drugi i dziesiąty,
 I nieciasno tam nikomu:
 Wyrzątnięto wszystkie kąty,
 Coraz szerzej w małym domu;

Zda się, że pan domu sobie,
 Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
 A on tylko w domu tobie,
 Drzwi i serce swe otworzył.
 I ta strzecha, choć uboga,
 Chociaż nłzka, przecież blizka,
 Dla obcego i dla swego,
 I od Boga aż do wroga,
 Jest tu miejsce dla każdego.
 A dopieroż to przyjęcie,
 Jakie bywa w polskim domu!
 Jak tam każdy poczczone święcie,
 Jak nie braknie nic nikomu!
 W dzień wesoło, w noc rzęsisto,
 Biało, gładko, potoczysto,
 Czeladź syta i okryta,
 Wszystko w czasie urządzone,
 Przymaszczone, osłodzone,
 Indyk kruchy, kapłon tłusty,
 A do tego dzban niepusty;
 Jest czém serce rozweselić,
 Jest się wszystkiém czém podzielić;
 Choć przyjęcie najłaskawsze,
 Jest mis parę, parę dzbanów,
 Zastawionych jeszcze zawsze,
 Dla zagórskich panów!

Między narodami słowiańskimi jeszcze po dziś
 dzień Serbowie téj starosłowiańskiej enoty dochowują.
 Nie ma u nich karczem, bo każdy podróżny, bez
 różnicy wieku, stanu i pochodzenia, w pierwszej
 lepszej chacie jak najserdeczniejsze znajduje przyję-
 cie. Gospodarz częstuje gościa jak swego najlepszego
 przyjaciela, a gdy nie może go przyjąć przyzwoicie,
 wtedy bieży do swego sąsiada prosząc o pomoc, aby
 tylko nie zbywało gościowi na niczém. Ogóle w Ser-
 bii dochowały się dotąd najwięcej starodawne oby-
 czaje słowiańskie.

Dziś w Polsce już nie panuje taka świetna jak

niegdyś gościnność, może jednak i ona z dawnymi wróci cnotami. Naśladując enoty naszych przodków, nie zaniedbujmy i gościnności, bo piękna to i na wskrós słowiańska cnota.

Nagrodzona gościnność.

Szedł sobie żydek ubogi z towarem przez małą wioskę. Noc była już zapasem, a téż i słabo zaczęło się robić żydkowi, bo jakaś choroba go napadła. Idzie tedy do jednego gospodarza i prosi, aby go przenocował. Ten atoli gdy zoczył żyda, wypędził go, mówiąc: „A pójdiesz ty obszarpańcze jakiś, a to ja żydów mam nocować.“ Tak więc zaślepiony ten człowiek zapomniał, że każdy człowiek naszym bliźnim, którego wspierać i miłować należy. Nie pamiętał, że Zbawiciel na krzyżu modlił się za nieprzyjaciół.

Biedne żydzisko doznało podobnego przyjęcia w kilku jeszcze chatach, aż dopiero jeden poczciwy gospodarz przyjął go na nocleg do swojej chaty. Był to Jędrzej, kmieć dość zamożny, ale przytem uczynny, który wiernie wypełniał nauki Chrystusa, a więc i żydowi, jeżeli mógł, świadczył dobrze. Poczęstował zgłodniałego nieboraka, a potem dał mu słomy i ciepłego przykrycia. Lecz cóż się stało, nasz żydek zachorował. Poczciwy Jędrzej nie zaniedbał niczego, aby przywrócić choremu zdrowie. Otoczył go więc wszelkimi wygodami, sprowadził lekarza, kupował lekarstwa, aż téż i żydek wyzdrowiał. Oj dziękowałże téż chudziaszek za dobre serce i przyrzekał, że nigdy nie zapomni. A potem puścił się w świat dalej.

Minęło lat kilka, a niejedna zaszła zmiana w chacie Jędrzeja. Nieszczęścia za nieszczęściami go nawiedzały, tak że w końcu miano mu sprzedać grunt i chałupę, a Jędrzejowi chyba kij żebraczy pozostał na starość. — Siedział sobie raz Jędrzej wieczorem przed chatą zadumany, rozmyślając, jak mu to boleśnie będzie opuszczać rodzinną chatę, gdy wtém oto zaturkotał wózek, z którego wysiadł nasz znajomy żydek. Nie był on już ubogim handlerzem, ale bogatym kupcem, co się zowie. Właśnie niedawno wrócił z obcych krajów, a dowiedziawszy się o smutném położeniu Jędrzeja, pospieszył mu co rychlój z pomocą. Ten przyjął atoli tylko zapożyczkę kilka set złotych, któremi spłacił dłużników. Jędrzej znowu przyszedł do zamożności. A tak więc nagrodzoną została gościnność. Dobry czyn jest to ziarno, które stokrotny wydaje owoc.

O dwunastu miesiącach.

Powieść ludowa słowacka.

W pewnej wiosce pod lasem żyła matka z dwoma córkami. Jedna z nich Helena była jój własną, a druga Marysia była jój pasierbicą. Marysia była bardzo piękną, daleko piękniejszą od swój siostry, dla tego téż macocha ani patrzeć na nią nie mogła. Ale Marysia była nietylko piękną, ale téż dobrą, enotliwą, pobożną i pracowitą. Wszystko w domu robiła bez szemrania. Sama musiała co dzień izbę zamieść, jeść ugotować, a prócz tego szyła, prała, tkala płótno i t. d., a siostra jój tylko się stroiła i

cały dzień Boży próżnowała. Marysia co dzień była piękniejszą, a Helena co dzień brzydszą, dla tego też wraz z macochą nienawidziła Marysi i jak mogła tak jęj dokuczała. Smutny był los Marysi, bo co dzień było z nią gorzej, zwłaszcza, że co dzień była piękniejszą, a Helena brzydszą. Nakoniec myśli sobie matka: córki dorastają, a że Marysia piękniejsza i lepsza, to ją każdy będzie wolał za żonę, a tak Helena zostanie na koszu. To samo myślała córka. Postanowiły tedy Marysię wypędzić. Morzyły więc głodem biedną dziewczynę, biły i wymyślały dla niej takie przykrości, o jakich dobry człowiek ani nie myśli. Nieszczęśliwa sierota nie straciła jednak nadziei w Bogu, ale wciąż się modliła, a Bóg też się nad nią zlitował.

Było to zimą w miesiącu Styczniu. Mróz był trzaskający na dworze, śnieg okrywał pola, a prężny wiatr dął z północy. Nagle zachciało się Helenie fijołków, rzekła więc do siostry: „Idź Marysiu do lasu i przynieś mi bukiet z fijołków.“

„Dla Boga, kochana siostrze, czegoż po mnie wymagasz, jakżeż pod śniegiem mogą rosnąć fijołki“, odrzekła Marysia.

„O ty niegodziwa“, wrzasnęła Helena, „ty śmiesz mi się sprzeciwiać kiedy ja ci każę. Zaraz ruszaj po fijołki do lasu, albo cię zabiję. A bez fijołków już więcej nie przychódź.“ Macocha, słuchając tych słów, zamiast skarcić córkę, jeszcze jęj dopomogła, bo wypchnęła Marysię i drzwi za nią zamknęła.

Myślały, że już Marysia więcej nie przyjdzie, bo nie chodziło im o fijołki, tylko, aby się jęj pozbyć.

Biedna dziewczyna szła płacząc do lasu. Śnieg leżał wszędzie wysoko, nigdzie nie było ścieżki, ani drogi. Błakała się po lesie nieszczęśliwa Marysia,

a tu głód jęj zaczął dokuczać, zimno na wskróś ją przejmowało, tak że biedna sierota prosiła Boga, aby ją zabrał z tego świata. Wtém ujrzy w dali światło. Biegnie w tę stronę i widzi potężny ogień, naokół którego siedziało dwunastu mężów na dwunastu kamieniach. Trzech z nich byli z białemi brodami, trzój jeszcze młodszy, a trzój najmłodszy byli najpiękniejsi. Milcząc spoglądali w płomień. Ci mężowie byli miasiacami. Na czele siedział Styczeń, jego broda i wasy były jak mleko białe, a w rękę dzierzył laskę.

Marysia z początku przestraszyła się wielce, a potém jednakże nabrawszy odwagi przystąpiła bliżej i prosiła, aby jęj pozwolili ugrzać się przy ogniu. Styczeń skinął głową, a potém zapytał, zkad przyszła i czego szuka?

„Szukam fijołków“, odrzekła Marysia.

Na to Styczeń: „Teraz nie ma fijołków, bo śnieg leży wszędzie wysoko.“

Wiem o tém“, rzekła smutnie Marysia, „ale moja siostra Helena i macocha kazaly mi przynieść fijołków, a jeżeli nie przyniesę, to mnie chcą zabić. Moi kochani pasterze, powiedzcie mi, gdzie tu rosna fijołki.“

Powstał Styczeń i udał się do najmłodszego miasia, a podawszy mu laskę rzekł do niego: „Bracie Marcu siadź na mojem miejscu.“

Miasiac Marzec usiadł na pierwszym miejscu i wzniosł laskę nad ogniem. W tęg chwili płomień silniej zagorzał, śnieg zaczął tajać, drzewa zaczęły dostawać liści, pod drzewami zazieleniała trawa, a w trawie kwitły piękne kwiaty, jedném słowem, była wiosna. Pod krzakiem rosły fijołki, a wkrótce było ich tyle, jakby kto błękitną chustę rozpostarł. „Marysia! rwij prędko“, zawołał Marzec. Marysia wzięła się ochoczo do zbierania, a wkrótce miała wielki bu-

kiet z fijołków. Wtedy podziękowała pięknie miesiącom i pośpieszyła czém prędej do domu.

Zdziwiły się niemało Helena i macocha, gdy ujrzały idącą Marysię z pięknym bukietem, otworzyły jój drzwi czém prędej, a gdy Marysia weszła do chaty, to miła woń rozlała się po całej izbie. Helena zapytała, gdzie nazbierała tych pięknych kwiatów, a Marysia powiedziała jój, że tam wysoko na górze rośnie bardzo wiele fijołków. Helena nie mogła się nasycić wonią fijołków, ale chociaż ją tak ten bukiet cieszył, jednakże nie powiedziała Marysi ani „Bóg zapłać.“

Na drugi dzień zachciało się Helenie poziomek, rozkazała tedy siostrze, aby szła po nie do lasu. Daremnie błagała Marysia, proźby jój były napróżno, bo macocha wypchnęła ją za drzwi, pragnąc się jój raz pozbyć. Biedna dziewczyna skierowała swe kroki do lasu i znowu przyszła do ognia, przy którym siedziało dwunastu mężów, którzy byli miesiącami. Marysia prosiła grzecznie, aby pozwolili jój się ugrzać i aby jój byli łaskawi powiedzieć, gdzie tu rosną poziomki, bo macocha i siostra kazały ich szukać. Wtedy znowu Styczeń wstał z swego siedzenia i dał łaskę Czerwcowi. Ten wznosił ją nad ogniem, a w tój chwili buchnął silniej płomień i wkrótce zrobiło się lato. Śnieg stajał, zieloność okryła pola, drzewa dostały liści, ptaszki zaczęły śpiewać, a najpiękniejsze kwiaty zakwitały. Wkrótce opadły kwiaty, a wnet zaczerwieniły się poziomki, których było tyle, jakby kto krwią to miejsce polał. Marysia na wezwanie Czerwca nazbierała jagód, a gdy miała dosyć podziękowała pięknie miesiącom i pośpieszyła czém prędej do domu.

Macocha i córka wielce się dziwiły, jak Marysia

wśród mroźnej zimy mogła nazbierać poziomek. Zjadły ze smakiem obydwie przyniesione poziomki, a Marysi nie dały ani skosztować.

Na trzeci dzień zachciało się Helenie jabłek. Rozkazała tedy Marysi iść do lasu po jabłka, grożąc, że jak nie przyniesie, to ją zabije. Daremne były proźby Marysi, w końcu wypchnęła ją znowu nielitościwa macocha, choć wiatr szumiał na dworze i zimno było przenikliwe. Matka i córki chciały koniecznie, aby sobie Marysia odeszła, albo też gdzie zginęła. Ta szła smutna do lasu i długo się błąkała zanim przyszła do ogniska, przy którym siedziało dwanaście miesięcy. Tak samo, jak dawniej prosiła grzecznie Marysia, aby pozwolili się jój ugrzać i powiedzieli, gdzie rosną jabłka, bo macocha i siostra kazały jabłek przynieść.

Miesiąc Styczeń dał łaskę Wrześniowi, a ten wznosił ją nad ogniem, a wnet z zimy zrobiła się jesień. Między drzewami wznosiła się także jabłoń, okryta pięknymi, rumianymi jabłkami. Wrzesień kazał Marysi trząść, jakoż udało się jój strząsnąć dwa jabłka. Podziękowawszy pięknie miesiącom za ich dobroć, pobiegła do macochy i swój siostry. Zadzziwiły się one wielce widząc piękne jabłka. Helena zamiast podziękować Marysi, zaczęła nad nią wymyślać, że tylko dwa jabłka przyniosła, bo inne zjadła w drodze. Gdy Marysia nadmieniła, że nie mogła więcej utrząść i że ani jednego jabłka nie zjadła, wtedy ją chciała bić rozgniewana Helena, tak że Marysia ledwie się przed nią do kuchni schroniła. Helena zjadła swoje jabłko i zaręczała, że jeszcze w życiu nie jój tak nie smakowało. Także macocha ze smakiem swoje jabłko zajadała. Helenie zachciało się więcej jabłek, chciała więc sama iść do lasu.

„Matko“, mówiła, „daj mi moje futro, bo pójdę do lasu po jabłka. Już ja je tam znajdę, a nie będę nikogo o pozwolenie pytać.“ Daremne były przedstawienia matki, aby nie chodziła, Helena była bardzo rozpieszczona, matka jej wszystkiego dozwalała i nie chowała jej w karności, więc i tą razą postawiła na swoim. Wzięła swój ciepły kożuszek, chustkę na głowę i dalej do lasu. Matka wyszła na próg i spoglądała za odchodzącą Heleną.

Wszędzie było pełno śniegu, nigdzie nie było widać drogi, ani ścieżki. Helena długo się błąkała, aż nareście ujrzała w dali światło. Udała się do tego światła i niedługo spostrzegła wielki ogień, naokół którego na dwunastu kamieniach siedziało dwanaście miesięcy. Z początku przestraszyła się Helena, ale wnet przystąpiła do ognia, aby się ugrzać. Nie prosiła wcale o pozwolenie i ani słówka nie rzekła. Wtedy zapytał jej Styczeń, po co tu przyszła. „Na co się pytasz stary głupcze“, odrzekła, „nie potrzebujesz wiedzieć po co tu przyszłam“; i po tych słowach oddaliła się od ognia i poszła w las szukać jabłek. Zmarszczył Styczeń swoje czoło i wznosił łaskę po nad głową. W tej chwili zaciemniło się niebo, ogień zaczął się zmniejszać, a śnieg wielkimi płatami spadał na ziemię i wiatr dał przeraźliwy. Helena nic przed sobą nie widziała, szła więc omackiem, aż w końcu wpadła w zaspę śniegu, zkąd wyjść nie mogła. Coraz było jej zimniej, członki kostniały od wielkiego zimna. Zamiast udać się do Boga o pomoc, to Helena kłęła, aż też nareście żyć przestała.

Matka długo na nią czekała, aż nie mogąc się jej doczekać, wyszła do lasu jej szukać, bo myślała, że może zasmakowały jej jabłka i dla tego nie chce odejść. Błąkała się długo po lesie, a potem nie

mogła wrócić, bo nigdzie nie było śladu drogi ani ścieżki, w końcu spotkało ją to samo, co jej niegodziwą córkę.

Tak ukarał Bóg surowo matkę za złe wychowanie córki i za prześladowanie biednej sieroty, a córkę za nieusłuchanie matki i wymyślanie nad siostrą. Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

Marysia długo czekała na macochę i siostrę, ale nie mogła się ich doczekać. I tak Bóg uwolnił biedną sierotę od prześladowań. Chata i wszystko, co w niej było, oraz kawałek pola, dostały się Marysi, bo się to jej i tak po rodzicach należało, tylko że to sobie macocha przywłaszczyła. Długo jeszcze potem żyła dobra Marysia i cały czas była szczęśliwą.

Dwie sieroty.

Biedne są sieroty! Bez ojca, bez matki tułają się samotne po obszernym świecie. Ileż to takie biedne istoty wycierpią. Ale jeżeli mimo tego są dobre i pobożne, to Pan Bóg im błogosławi, albo je zabiera do swojej chwały.

W pewnym wielkim mieście żyły raz dwie sieroty. Niedawno straciły rodziców, a że jeszcze były małe, więc sobie nie umiały na chleb zarobić. Żyły tylko z jałmużny. Jeszcze latem było pół biedy, gorzej w jesieni, a najgorzej zimą. Raz zasiadły sobie te sierotki pod kapliczką. Siedziały długo, a nikt się nad nimi nie ulitował. A tu mróz, zawierucha, że i psa żal na dwór wypędzić. Biedne dzieciszczka zmówiły paciórek, a potem drząc od zimna zaczęły pukać do kapliczki, prosząc o pomoc. I zlitował

się Bóg nad niemi, zesłał bowiem na ziemię białego anioła, który zabrał dusze sierót do nieba. Tam im dobrze, tam nie cierpią więcej zimna i głodu. Dzieci! bądźcie dobrzy, cnotliwi, a i wy dostaniecie się do nieba.

Ucieszna przygoda, która się dawnymi czasy czterem ludziom w lesie przytrafiła.

Już to temu parę set lat, albo i więcej, jak sobie raz szło przez wielki bór czterech ludzi. A dziwni to byli zaprawdę ludzie.

Jeden z nich był kulawy, tak że ledwie noga za nogą postępował. Drugi nieborak był ślepy, a trzeci znowu nic nie słyszał. A nakoniec czwarty, Panie Boże odpuść, był nagim jak pasternak. Takimi tedy byli ci wędrowni ludzie.

Jeszcze to nie, że tacy byli ułomni, boć jakimi nas Bóg stworzył, takimi jesteśmy, a jeżeli kto się przez złe życie jakiego kalectwa nabawi, niech to przyjmie za karę Bożą i niech się poprawi. Ale z tymi ludźmi to było wcale co innego.

Oto ten kulawy powiadał do każdego, że on nie jest chromym, tylko tak mu się coś w nogę zrobiło, ale to wnet przeminie. Zaś ślepy udawał, że widzi dobrze, a głuchy, że słyszy, choćby się co o pół mili ruszyło, a co z nagim, to już była rzecz najśmieszniejsza, bo mówił do każdego, jakie on to ma piękne szaty na sobie.

Tak owi ludzie wypierali się widocznego kalectwa,

jakiem ich Bóg nawiedził. Śmieszniec to było, ale czyż i dziś nie dzieją się podobne rzeczy. Znam ja takich ludzi, co podobnie jak ci ludzie na ciele, tak oni na duszy są kalekami, a udają, że są dobrymi, cnotliwymi ludźmi. Niejeden co z chłopskiego pochodzi stanu, udaje, że jest pańskiego rodu, jakby to rolnik, który nas żywi, był czém gorszym od szlachcica. Tak, tak, nie wstyďte się nigdy, mili czytelnicy, waszego pochodzenia.

Ale wracam do owych wędrownych ludzi czy też żebraków, bo nie wiem czem oni byli. Idą tedy sobie, a gdybyś słuchał co oni mówili, tobyś musiał pękać ze śmiechu. Zmówiło się orobójnikach, którzy podobno w tych lasach rabowali ludzi. Przestraszyli się wielce ci podróżni.

Nagle staje ów głuchy, który udawał, że dobrze słyszy i mówi: „Cicho bracia, bo mi się zdaje, jakby się tam coś ruszało; ot, ot słyszę wyraźnie jakiś łoskot, są to pewnikiem rozbójniki, oj będziez to bieda.“

Nie chciał i ślepy milczeć, więc aby pokazać, że dobrze widzi, tak powiedział: „Ady mi się coś w tej chwili mignęło przed oczyma, a nie było to co innego, jeno rozbójniki.“

Chciał się też nagi poszczycić swemi szatami, rzecze tedy: „O Boże, Boże, ady oni gotowi nas obrabować i ze szat obedrzeć, oj będziez to bieda“ (a nie miał nic na sobie).

Aż też kulawy niewiele myślący, jak nie krzyknie z całej siły: uciekajmy, jak nie da drapaka do lasu, to się jeno za nim kurzyło. Towarzysze jego widząc to, dalejże w nogi, mój drogi, i tak w krótkim czasie rozbiegli się na wszystkie strony.

Ale co się stało? Kulawy ledwie zrobił parę kroków, tak bęc o ziemię, jak długi; ślepy gdy w ca-

łym pędzie uciekał uderzył głową o drzewo, tak że mu się w oczach, niby w siedmiu kościołach zaświeciło (wtedy widział) i o mało nie rozbił sobie głowy; ten nagus obdarł, odrapał się między krzakami, że wyglądał jak niestworzenie Boże, a głuchy zapędziwszy się daleko, naderemnie wrzeszczał z całego gardła, bo choćby mu i kto odpowiedział, to nic nie słyszał, gdyż był głuchym.

Po niejakim czasie zgromadzili się na nowo, aleć co wyżyli przez ten czas i jak się wystraszyli, to ani tego wypowiedzieć nie można. Lecz nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło, to i ta przygoda tak ich wyuczyła rozumu, że już się nikt nie tail z swoim kalectwem. I szli sobie w zgodzie, aż miło, a jeden drugiemu, jak mógł dopomagał, a nic już im się złego nie przytrafiło. Ale téj przygody nie zapomnieli przez całe życie.

S e n.

Raz dawnemi czasy podróżowało trzech czeladników. Rozmaicie im się wiodło i źle i dobrze. Dnia jednego wielki głód cierpieli, bo pieniądze im wyszły, a roboty nie było. Za ostatek pieniędzy kupili bocheneczek chleba, ale było to tyle, co nic dla trzech głodnych żołądków. Rzeczce tedy jeden: „Wiecie co bracia, wszyscy trzej nie najemy się tym chlebem, ale jeden z nas zaspokoilby głód tym bocheneczkiem. Kto tedy ma go zjeść? Otóż wiecie co? połóżmy się i usnijmy, a kto będzie miał najlepszy sen, temu przypadnie ten cały bochenek chleba.“

Zgodzili się na to czeladnicy; jakoż zaraz zabrali się do spania. Ów atoli doradzca wstał niędlugo, zjadł chleb i położył się znowu, jakby nigdy nic. Wreście obudził towarzyszków, aby opowiedzieli swoje sny. Rzecze pierwszy: „Mili towarzysze! bardzo miałem dziwny sen i nieodgadniony. Oto widziałem złotą drabinę, opartą o niebiosą, po której wchodzili i zchodzili aniołowie. Ci zanieśli mnie do samego nieba. Tam byłem uczestnikiem radości, jakiej oko nie widziało, ani ucho nie słyszało. Jeszcze wciąż mi brzmi w uszach niebieska muzyka.“

Zacznie drugi opowiadać: „Ja miałem sen bardzo straszny. Śniło mi się, że diabli porwali ognistemi kleszczami mą ubogą duszę, zaciągnęli do piekła i położyli na ostre noże, mówiąc, że już nigdy ztąd nie wyjdę. To był mój sen.“

Rzecze na to trzeci, który zjadł bocheneczek chleba: „Ja widziałem w śnie anioła, który mówił do mnie: Chcesz wiedzieć, gdzie są twoi towarzysze? Skinąłem głową, prosząc anioła o tę przysługę. Jakoż zaprowadził mnie do pokoju, gdzie widział ciebie,“ mówił, zwracając się do tego, który twierdził, że mu się śniło o niebie, „siedzącego na złotej ławie przy stole, pełnym niebieskich pokarmów. I mówił do mnie anioł: Widzisz, w jakie rozkosze opływa twój towarzysz. Potém zawiódł mnie do piekła, gdzie widział ciebie, mój miły“, mówił do drugiego towarzysza, „leżącego na ostrych nożach. Litowałem się nad tobą, ale tyś mówił do mnie, że już ztąd nigdy nie wyjdiesz. Przeto idź bracie na ziemię, mówiłeś do mnie dalej, i zjedz chleb, bo już nas więcej nie ujrzysz. Co też uczyniłem, bo już chleb zjedzony. A zatem mój sen był najlepszy.“

Cóż mieli robić dwaj oszukani towarzysze, gdy w rzeczy samej sen ten był najlepszym. A ponieważ im głód dokuczał, więc starali się o jego zaspokojenie, jakoż natrafiwszy na dobrych ludzi dostali chleba do sytości. Nieraz opowiadając sobie później to zdarzenie śmiali się do rozpuku z owych snów zmyślonych, bo jak się zapewne już czytelnik domyślił, były to tylko sny udane.

Jeszcze jedna powieść o ranném wstawaniu.

W ziemi Wielkopolskiej, przy mieście Kruświcy, w którym niegdyś królowie i książęta polscy mieszkali, rozlewa się wielkie jezioro zwane Gopłem. Nad brzegami tego jeziora stała dawnemi czasy uboga, niska chatka, zielonym mchem okryta. W tej chatce mieszkała biedna, ale poczciwa wdowa. Mąż jój poległ walcząc w obronie kraju przeciw Tatarom, którzy dawniej często mieczem i ogniem ziemię naszą pustoszyli.

Bez opieki i pomocy została Dobrosława, bo takie było imię tej ubogiej wdowy, tylko mały synek Mieczysław jój pozostał, jedyna nadzieja i pociecha w strapieniu. I rzeczywiście dziecię to było pociechą strapionej matki, bo zaledwie pięć lat ukończyło, a było już nad spodziewanie roztropném, posłuszném i dobrém.

Mały Mieczuś zważał na najmniejsze poruszenie kochanej matki, starał się ją rozweselić, kiedy była smutną, i nieprędzej zaprzestał swych usiłowań, dopóki się matka nie uśmiechnęła i nie przycisnęła do

serca lubej dzieciny. Dobrosława też kochała nad życie małego syna, czuwała nad nim troskliwie, wpa-
 jając w jego młodzieczne serce zasady cnoty. I nie
 na martwą opokę, ale na pulchną i urodzajną zie-
 mię padały jej słowa, gdyż Mieczus zważał pilnie
 na każde jej słowo i wszystko wypełniał. To też
 zawsze odmawiał pobożnie paciórek rano i na wie-
 czór, prosząc Boga o błogosławieństwo dla kochanej
 matki. Dosyć mieli daleko do kościoła, więc matka
 chciała go nieraz zostawić w domu, ale Mieczus tak
 zawsze usilnie prosił, że uradowana matka chętnie
 go z sobą brała do kościoła, gdzie się tak szczerze
 i przystojnie modlił, że prawdziwa była rozkosz pa-
 trzeć na tego pobożnego chłopczykę.

Nie było jeszcze wtedy tyle szkół, co dziś, więc
 też nie mogła matka posyłać Mieczusia do szkoły.
 Uczyła go tedy sama pisać i czytać. Mieczus nad
 spodziewanie pilnie się uczył, tak że w krótkim cza-
 sie umiał czytać, a znał też niezłe katechizm i dzieje
 Przymierza czyli historję świętą. Co dzień zaledwie
 słońce wstało, a już był Mieczus na nogach. Szybko się
 ubrał, umył, zmówił pacierz, przyniósł matce świe-
 żej wody ze źródła, naniecił ogień, ogóle wszystko
 zrobił, co było w jego siłach. Potem wziął książkę
 i uczył się pilnie. Nieraz to aż się popłakał, gdy
 czytał o Kainie, który zabił Abła, o Józefie, jak
 go sprzedali bracia do Egiptu. O kochani czytelnicy,
 gdybyście chcieli brać przykład z owego do-
 brego chłopczyka, a podobnie rychło wstawali i pil-
 nie się uczyli, lub też na inny sposób pracowali.

Tak tedy Mieczus mianowicie latem wstawał co dzień
 ze wschodem słońca, a ucieszona matka nieraz doń
 mówiła: „Dobrze robisz Mieczusiu, bo pamiętaj, że
 kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.“

I rósł mały Mieczysław w pobożności i cnocie, a im dalej zachodził w lata, tym więcej radości sprawiał matce, wyręczając ją w domowej pracy, gdyż Dobrosława musiała ciężko pracować na kawałek chleba latem, dopomagając gospodarzom przy sianozęciu i żniwie, a zimą tkając płótno i przędąc. Krom tego posiadając mały ogródek, także go uprawiała, w czem wielką pomocą był jój Mieczuś.

I tak płynęły matce i synowi lata wśród modlitwy i pracy, a Mieczysław skończył już rok trzynasty. Dobrosława mocno się troskała o przyszłość kochanego syna, a sama téż z powodu ciężkiej pracy i zmartwienia coraz więcej słabła na siłach. O! bo nie zawsze była ona ubogą wyrobnicą, kiedyś i ona żyła w szczęściu i pomyślności przy boku kochanego męża Stanisława. Lecz krótko trwało to szczęście, bo oto w lat kilka po ich ślubie wpadli do Polski Tatarzy, mordując ludzi, paląc wsie i miasta. Stanisław, jako wierny syn Ojczyzny, wyruszył w pole naprzeciw łupieżcom, lecz już nie wrócił z wojny, zapewne poległ w obronie rodzinnego kraju. Tatarzy spustoszyli piękną włość Stanisława, położoną nad brzegami Wisły w mazowieckiej ziemi, a nieszczęśliwa Dobrosława zaledwie zdołała z małym Mieczysławem ująć rąk nieprzyjacielskich. I udała się nad brzegi Gopła do brata, ale nie znalazła go, bo zapewne także albo poległ walcząc przeciw Tatarom, albo téż przeniósł się w inne strony. Smutne było położenie Dobrosławy! Kraj cały zniszczony, wsie i miasta popalone, więc téż nie miała po co wracać na zgłiszcza rodzinnego domu, a zatem zmuszoną była jąc się uciążliwej pracy. Osiadła tedy nad brzegami Gopła, w pobliżu obszernego siola, a jeden z gospodarzy, któremu najwięcej w pracy dopomagała,

pozwoili ję zamieszkać w opustoszonej chacie. I tam to żyła Dobrosława z synem Mieczysławem i właśnie już upłynęło lat dziewięć, odkąd w tych stronach przebywała. Lecz siły ję coraz więcej nikięły, coraz mniej mogła pracować, troskała się tedy mocno o los syna, co pocnie biedny po ję śmierci, sam jeden między obcymi, bez przyjaciela, opiekuna, krewnych. Na domiar nieszczęścia Dobrosława ciężko zachorowała. Doglądali ję prawda troskliwie mieszkańcy pobliskiego sioła, bo wszyscy serdecznie ją kochali, ale zawsze wielkie to było nieszczęście dla Dobrosławy i ję syna Mieczysława. Tę nie mógł się utulić z żalu na samą myśl, że może matkę utracić. Modlił się tedy gorąco do Boga, czynił co mógł, aby matkę przy zdrowiu zachować, ale było to na próżno, gdyż choroba codzien się pogorszała.

Razu pewnego wstał Mieczysław bardzo rano i pobiegł na wzgórze niedaleko Gopła. Na tęp wzgórze wznosiła się mała kapliczka. Gdy tam stanął, wtedy właśnie zaczęło się wynurzać słońce i oświecać ziemię. Gopło było spokojne, najmniejszy wiaterek nie marszczył wody. Ptaki zewsząd nuciły wesołą pieśń poranną na cześć i chwałę Stwórcy. Wtedy i w serce Mieczysława wstał jakiś dziwny pokój, a pełen radosnego przecucia padł na kolana. „O Boże“, zawołał, „wróć zdrowie męj kochanej matce; zmiłuj się nad nami, o Ojcie Niebieski; nie dozwól, aby matka mnie opuściła, bo cóżbym poczał ja biedny, nieszczęśliwy.“ I w podobny sposób modliło się pobożne pachole. O! ciesz się dobry synu, prózba twoja wysłuchana.

Właśnie szedł drogą w tym samym czasie pielgrzym, a widząc kapliczkę, skierował ku nię swe kroki. Ujrawszy modlącego się chłopca i słysząc

jego prozbę, padł także na kolana i zaczął się także modlić. Po ukończeniu modlitwy przystąpił do Mieczysława i zapytał o co tak rzewnie i gorąco Boga błaga? Mieczysław zaczął rozpowiadać o matce, jaka dobra, pobożna, i że teraz jest bardzo chorą.

„Ale przecież masz ojca, zapewne“, rzecze pielgrzym, który wielce wzruszony słuchał tego opowiadania.

„Ach nie mam“, odezwał się smutnie Mieczysław, „poległ walcząc przeciw Tatarom.“

„O, wielki Boże!“ zawołał pielgrzym, „a jak ci imię i twojej matce.“

„Mojej matce imię Dobrosława, a mnie nazywa matka Mieczysławem.“

„A ojcu jak było imię“, zapyta pielgrzym.

„Stanisław“, była odpowiedź, „o, pamiętam dobrze to imię, bo co dzień się modlę za mego kochanego ojca.“

Tu pielgrzym nie mógł pokryć swego wzruszenia, ale pełen najżywszej radości zawołał: „Mieczysławie, synu mój, jam to twój ojciec Stanisław“, przyciskając go do serca. Obydwaj syn i ojciec płakali z wielkiej radości, a gdy ochłonęli z pierwszego wzruszenia i podziękowali Bogu, wtedy udali się czém prędzej do chaty, gdzie spoczywała chora Dobrosława. Któż opisze radość, jaka tam panowała. Dobrosława wkrótce wyzdrowiała, a tak niczego nie brakowało do szczęścia. Stanisławowi udało się odzyskać rodzinną wioskę, a tak żyli sobie szczęśliwie długie lata. Mieczysław wyrósł na dzielnego młodziana, a później męża, i całe życie był dobrym i enotliwym.

Nieraz uszczęśliwieni rodzice wraz z synem powtarzali, że kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje,

bo Mieczysław zyskał ojca, Stanisław syna i żonę, a Dobrosława małżonka. Tak więc błogosławi Bóg już w tém życiu dobrych, cnotliwych ludzi, a jeszcze więcej w niebie. A widzimy téż, ile dobrych skutków wywiera ranne wstawanie. Pamiętajcie więc zawsze kochane dzieci na to starodawne przysłowie:

„Kto rano wstaje,
Temu Pan Bóg daje.“

Kilka bajek Krasickiego.

Bajką nazywa się zwykle zmyślane opowiadanie, n. p. jeżeli ci kto opowiada, że konie rozmawiają z wołami, to wtedy opowiadanie to jest bajką. Bajka znaczy zatem prawie to samo, co zmyślenie. W bajkach zachodzą nietylko ludzie, ale zwierzęta, rośliny i martwe przedmioty, które mówią ze sobą, pracują, i t. d. Każdy wie, że to są rzeczy zmyślane, ale te zwierzęta, rośliny, kamienie i t. d. są to niby ludzie, a przynajmniej ich mowy i to, co robią, ściągają się do ludzi. Z bajek tedy wynika dla nas nauka. N. p. jest jedna bajka o leniwych wołach, które nie chciały wiosną i latem pracować. Dobrze im było z początku próżnować, ale cóż się stało dalej? Oto gospodarz, gdy nie było zboża, zabił woły. Ztąd nauka dla ludzi, a mianowicie dla młodzieży, aby w młodości pracowali, bo inaczej doznają wielkiej biedy w późniejszych latach. Przytaczam tu kilka bajek Krasickiego. Był to wielki pisarz polski, który żył przed kilkudziesięciu laty i pisał prześliczne dzieła. Napisał téż wiele ładnych bajek. Przyta-

czam tu najprzód tę bajkę o tych wołach krnąbrnych
czyli nieposłusznych.

Woły krnąbrne.

Miłe złego początku, lecz koniec żaloszny,
Nie chciały woły w jarzmie chodzić podczas wiosny
W jesieni nie zwoziły zboża do stodoły,
Zimą chleba nie stało, zjadł gospodarz woły.

Tę samą myśl wyraża następująca bajka:

Wóz z sianem.

Przy powrozie
Na mrozie
Wielki ciężar konie wlekły,
Więc sobie rzekły:
Aby naszą pracę skrócić,
Starajmy się wóz wywrócić,
I tak się stało,
Siano się w wodzie zmaczało.
Ale czego nie dociekleły,
Cięższe, bo zmoknęły do domu przywlekły.
A nim wyschło bywszy w wodzie,
Pracowały trzy dni w głodzie.

Dzieci i żaby.

Koło jeziora
Z wieczora
Chłopcy w około biegali,
I na żaby czuwały,
Skoro która wypływała,
Kamieniem w łeb dostawała.
Jedna z nich śmielszej natury,
Wystawiwszy łeb do góry,
Rzekła: Chłopcy! przestańcie, bo się źle bawicie,
Dla was to jest igraszka, nam idzie o życie.

Bajka ta uczy nas, abyśmy nie dręczyli zwierząt.
Oj mili czytelnicy miejcie dobre serce i nie męczcie

zwierząt. A często mają dzieci taki karygodny zwyczaj, że dręczą kota, psa i t. d. Także nauka z tej bajki, aby zabawy nasze nie były nikomu przykrością; n. p. nie należy naśmiewać się z ubogich, ułomnych, bo Bóg takim dzieciom nie błogosławi, owszem surowo je karze, jak wiecie z pisma świętego, że niedźwiedzie rozszarpały czterdzieści i dwoje dzieci za naśmiewanie się z proroka Elizeusza.

Człowiek i suknia.

Brał się pewien do pręta, chcąc wytrzepać suknię,
 Ta widząc się w złym razie żwawie go ofuknie —
 A także to jest pamięć na usługi, rzecze,
 Bijesz tę, co cię zdoła, niewdzięczny człowiecze! —
 Rzekł człowiek: Ja nie biję, lecz otrząsam z prochu,
 Zakurzyłaś się wczoraj, dziś trzępię po trochu.
 Wybacz, z przykrych sposobów, kto musi, korzysta;
 Gdybyś nie była bita, nie byłabyś czysta.

Łatwo się zapewne, kochane dzieci, domyślicie, co ta bajka znaczy. Oto że jak nieraz suknię należy dzielnie przetrzepać, aby była czystą, tak i niejedno dziecko należy wprzód ukarać, aby było dobrem. Nie narzekajcie tedy kochane dziatki na karę, bo cóżby z was było, gdybyście nie były karane? Teraz gniewacie się często na waszych nauczycieli i przełożonych, ale później błogosławić będziecie tę rękę, która was do cnoty, do nauk zachęcała.

Dwie zagadki.

Na wielkiej łące
 Owieczek tysiące;
 Przez środek łąki rozstajne drogi,
 A pasterz łasy czasem nosi rogi.

Stoję zawsze nad wodą, sam nigdy nie piję,
 Chociaż nie potrzebuję, co chwila się myję;
 Kiedy się schylam, to się w górę wznoszę.
 Każdemu daję, sam o nic nie proszę.

Słowik i szczygiel.

Rzekł szczygiel do słowika, który cicho siedział:
 Szkoda, że krótko śpiewasz. — Słowik odpowiedział:
 Co mi dała natura wypełniam to wiernie.
 Lepiej krótko a dobrze, niż długo a miernie.

Pamiętajcie to sobie, że lepiej mało a dobrze, niż
 wiele ladaco.

Wół i mrówki.

Wół się śmiał, widząc mrówki w małej pracy skrzętne;
 Wtém usłyszał od jednej te słowa pamiętne:
 Z umysłu pracujących — szacunek robory,
 Ty pracujesz, bo musisz; my mrówki z ochoty.

Znaczy to, że wszelkiej pracy należy dokonać
 z ochotą, bo praca z przymusu, żadnej, a przynaj-
 mniej małą ma wartość. Mianowicie uczyć się trzeba
 z ochotą. Ostatnia to nauka i ogóle wszelka praca
 z przymusu.

Dziecię i ojciec.

Bił ojciec dziecię, że się nie uczyło.
 Gdy odszedł, dziecię różgę ze złości spaliło.
 Wkrótce znowu Jaś krnąbrny na plagi zarobił,
 Ojciec różgi nie znalazł i kijem go obił.

Kto szuka sposobów, aby uniknąć zasłużonej ka-
 ry, ten nieraz cierpi podwójnie na wzór krnąbrnego
 Jasia.

Podróżny i kaleka.

Nie skarżyłem na ludzi, nie skarżył na losy,
 Choć musiałem iść w drogę ubogi i bosi.
 Wtém gdy razu jednego do kościoła wchodzę,
 Postrzegłem, leży żebrak bez nogi na drodze.
 Nauczył mnie tém bardziej milczeć ów ubogi:
 Lepiej mnie bez obuwia, niż jemu bez nogi.

Nieraz narzekają ludzie, że są ubodzy, nieszcze-

śliwi, zapominając o tém, że są zdrowi. Lepiej żeś ubogi a zdrów, niż choćbyś był najbogatszym a chorym lub kaleką.

Rybka mała i szczupak.

Widząc w wodzie robaka rybka jedna mała,
 że go połknąć nie mogła, wielce żałowała.
 Nadszedł szczupak, robak się przed nim nie osiedział,
 Połknął go, a z nim haczyk, o którym nie wiedział.
 Gdy rybak na brzeg ciągnął korzyść okazałą,
 Rzekła rybka: Dobrze to czasem być i małą.

Widzicie więc, lube dzieci, że i wasz wiek ma swoje korzyści. Nieraz dla tego, żeście małemi, unikacie wielu niebezpieczeństw.

Tulipan i fijołek.

Tulipan okazały patrzył na to krzywo,
 że fijołek w przyjaźni zostawał z pokrzywą.
 Nadszedł pan do ogrodu tegoż właśnie rana;
 Widząc, że pięknie zeszedł, urwał tulipana.
 A gdy się do bukietu i fijołk zdarzył,
 Chciał go zerwać, ale się pokrzywą oparzył.
 Patrzył na to tulipan, mądry po niewczasie,
 I poznał, że przyjaciół, choć nierówny, zda się.

Starajcie się mieć przyjaciół, a nie gardźcie uboższymi od was. I mało znaczący człowiek nieraz nam może oddać wielką przysługę, jak oto pokrzywa fijołkowi.

(Płaszki w klatce.)

Czegoż płaczesz? staremu mówić czyżek młody,
 Masz teraz lepsze w klatce niż w polu wygody. —
 Tyś w niej zrodzon, rzekł stary, przeto ci wybaczę;
 Jam był wolny, dziś w klatce, i dla tego płaczę. —
 Nauczcie się kochane dzieci téj bajki na pamięć.

Rozwiązanie zagadek.

1. Księżyc i gwiazdy. 2. Żuraw u studni.

Zakończenie.

Tak tedy opowiedziałem wam, kochani czytelnicy, jakem umiał, te kilka powieści, które zebrałem i spisałem z różnych ksiązek dla waszego pożytku. Niech one utkwia w waszych sercach i zachęcają was do dobrego. Kochajcie Boga nadewszystko i wypełniajcie Jego wolę, a będzie wam błogosławił, jak owemu poczciwemu Szczudłowi. Módlcie się do Boga o zdrowie i szczęście dla waszych kochanych rodziców, jak owe dziatki, które wyprosiły życie swemi proźbami dla swego ojca, a może i wasze modły spełni Ojciec Niebieski. Bądźcie posłuszne waszym rodzicom, aby was nie spotkał los tego dziecka, które po śmierci rączkę z grobu wysuwało; a wy rodzice chowajcie w karności wasze dzieci i ucźcie ich cnoty i wszystkiego dobrego. Starajcie się o naukę; jeśli chodźcie do szkoły, to ucźcie się pilnie; a gdy już przestaniecie chodźć do szkoły, to czytajcie dobre i pożyteczne ksiązki, abyście nie zapomnialy tego, czegoście się w szkole nauczyły. Bądźcie wdzięcznemi dla waszych rodziców, opiekunów, nauczycieli, dobrodziejów, jak ów ubogi student

w Krakowie. Wstawajcie rychło rano, bo wtedy najlepszy czas do modlitwy, nauki i pracy. Słowem, bądźcie dobrimi i bierzcie przykład z podanych tu wzorów. A wierszy przytoczonych uczcie się na pamięć. Dajcie téż innym tę książkę do przeczytania, a sami téż czytacie pilnie i to więcej razy, bo dobrą książkę nie zawadzi parę razy przeczytać. Jeżeli ta książka wyjdzie na użytek, to wam napiszę więcej takich książek. A teraz bądźcie zdrowi kochani czytelnicy i Bóg niech będzie z wami!



Spis rzeczy.

	Strona:
1. <i>Kto z Bogiem, to i Bóg z nim, czyli: Powieść o dwóch żebrakach</i>	5
2. <i>Do Boga (wiersz)</i>	11
3. <i>Poługa modlitwy</i>	12
4. <i>Powrót Taty, przez Adama Mickiewicza (wiersz)</i>	16
5. <i>Szczęśliwy człowiek</i>	19
6. <i>Dobra Helenka</i>	21
7. <i>Brzoza Gryżyńska. (Podanie)</i>	24
8. <i>Brzoza Gryżyńska, wiersz przez Franc. Morawskiego</i>	27
9. <i>O Franciszku Karpińskim, jak uszanował ojca</i>	29
10. <i>Podanie o wieży siedmiu wodzów</i>	32
11. <i>Wiersz o tójże</i>	36
12. <i>Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje</i>	39
13. <i>Biedny Student. (Z Gwiazdki Cieszyńskiej r. 1857)</i>	43
14. <i>Bóg się tym brzydzi, kto ojca się wstydzi</i>	49
15. <i>Grusza, wiersz przez St. Jachowicza</i>	54
16. <i>Dudarz Szwanda. (Tłumaczenie z czeskiego)</i>	55
17. <i>Polska gościnność</i>	61
18. <i>Nagrodzona gościnność</i>	64
19. <i>O dwunastu miesiącach. (Powieść ludowa)</i>	65
20. <i>Dwie sieroty</i>	71
21. <i>Ucieszna przygoda, która się dawnemi czasy czterem ludziom w lesie przytrafiła</i>	72
22. <i>Sen</i>	74
23. <i>Jeszcze jedna powieść o rannem wstawaniu</i>	76
24. <i>Kilka bajek Krasickiego</i>	81
25. <i>Dwie zagadki</i>	83
26. <i>Rozwiązanie tychże</i>	85
27. <i>Zakończenie</i>	86



